

O przyjęciu pracy do publikacji decyduje kolegiąlnie Komitet Redakcyjny. Przedruk bez podania źródła nie jest dozwolony.

o - o - o - o - o - o - o - o - o - o
BIULETYN PTTK jest wspólnym organem Zarządu Wojewódzkiego, Oddziałów, Komisji, Klubów i Kół PTTK

Wydaje Zarząd Wojewódzki PTTK w Łodzi

Adres Redakcji: ul. Piotrkowska 102a 90-004 Łódź tel. 229-86

o - o - o - o - o - o - o - o - o - o
Redaguje Komitet w składzie:

Edward Chmąy, Jacek K. Ciesielski /Sekretarz Redakcji/, Kazimierz Hempel /Redaktor Naczelny/, Zofia Keppe, Stanisław Maciaszczyk, Eugeniusz Małafiej, Władysław Manduk, Leonard Matuszewski, Andrzej Robak, Paweł Suwalski, Henryk Szubert, Stanisław Tarnowski i Jan Zienkiewicz.

o - o - o - o - o - o - o - o - o - o
SPIS TREŚCI NR VII/VIII-241/242-76

1. Panorama Pamięci Narodowej	1
2. Stanisław Tarnowski - ... a mogiłkami zasłany kraj	4
3. Tyburcjusz Tyblewski - Przewodźć to więcej niż wskazywać drogę	6
4. Antoni Firkowski - Chrońmy zabytki	7
5. Zbigniew Parafianowicz - Przez Lasy Psarskie	9
6. Zbigniew Ciekliński - Zespół pałacowy w Babsku	12
7. Stefan Siniarski - Z dziejów ul. Wolborskiej w Łodzi	14
8. Przemysław Pilich - Maleniec - Ruda Maleniecka	16
9. Apolinary Kulesza - Ponownie o Przedborzu	18
10. Zbigniew Wilk - Tak się zaczęło...	20
11. Janusz Kamocki - Z wędrówek po morzu Flores	22
12. Piotr Szadkowski - Podwodne wojaże	24
13. Jerzy Klamann - Zalew Sulejowski - woda dla Łodzi	28
14. Kazimierz Hempel - Łodzianie w Beskidzie Niskim	30
15. Stanisław Szubert - Topimy Marzannę	33
16. Zofia Keppe - Skład apteczki turystycznej	35
17. Zofia Keppe - Gdy na wycieczce boli cię ...	35
18. Jerzy Klamann - "Hej Słowianie" i Mazurek Dąbrowskiego	39
19. Redakcja - Nowe Oddziały PTTK	40
20. jkc - Łódzki Tydzień Turystyki	41
21. Stanisław Maciaszczyk - Nietypowe sprawozdanie	42
22. Zbigniew Ciekliński - "Na turystycznych ścieżkach" - rec.	43
23. Z.K. - Regionalna Odznaka PTTK "Mikośnik Jury"	45

o - o - o - o - o - o - o - o - o - o
Numer zamknięto dnia 27 lipca 1976 roku



Biuletyn

PTTK

ZARZĄDU WOJEWÓDZKIEGO
90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 102-a, tel. 229-86

R. XXI

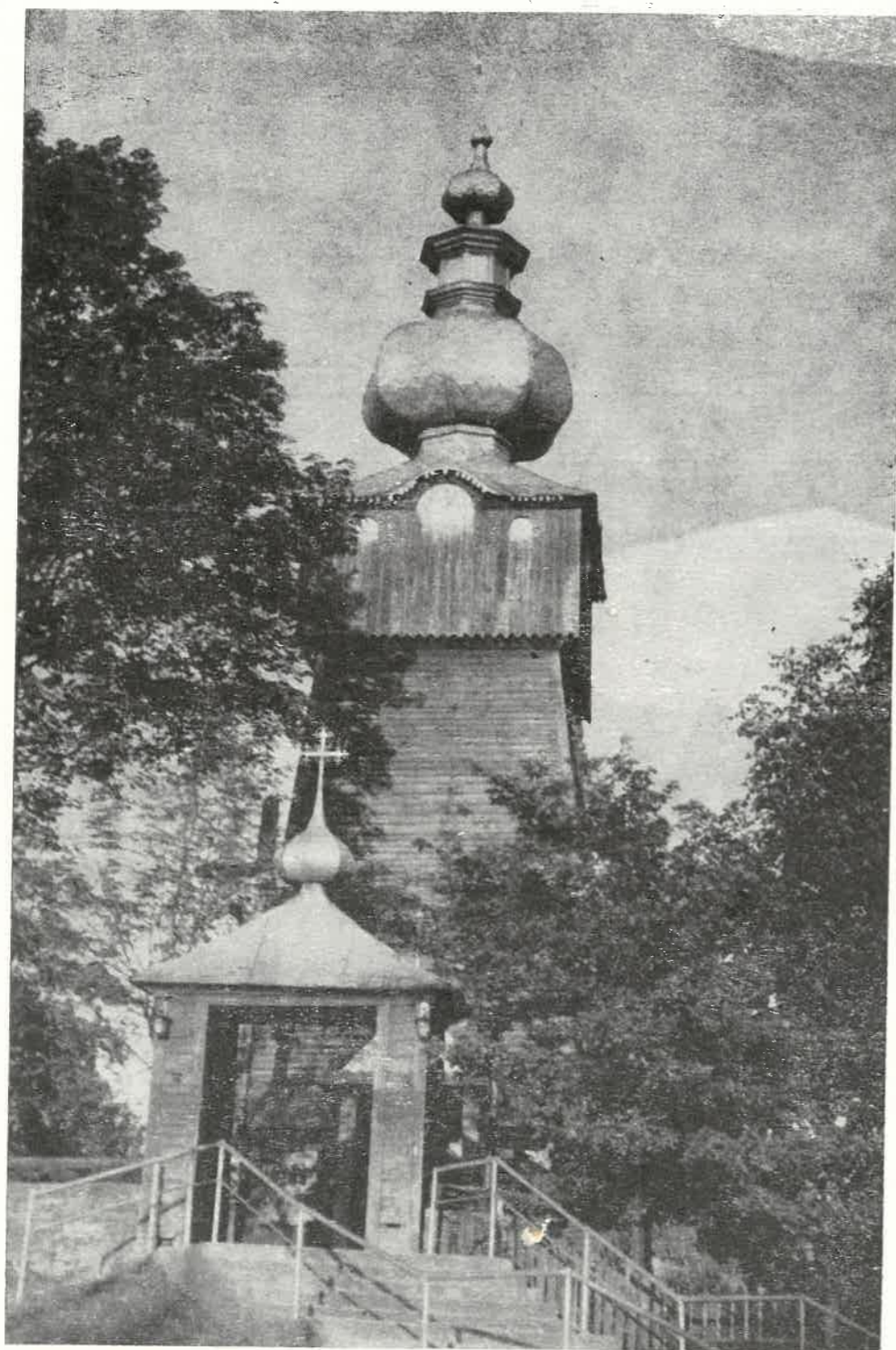
WRZESIEŃ — PAŹDZIERNIK 1976

NR IX (243) — X (244)



Łemkowie

fol. PAWEŁ STEFANOWSKI



Łemkowska cerkiew w Binczarowej

fol. TADEUSZ KIELBASINSKI

NA XI ZLOT PRZODOWNIKÓW GÓRSKIEJ ODZNAKI TURYSTYCZNEJ

Zgodnie z wieloletnią tradycją Zarząd Wojewódzki PTTK w Łodzi ofiarowuje Złotowi numer specjalny swego Biuletynu, ukazującego się już dwadzieścia lat. To szczególne wyróżnienie turystyki górskiej ma swe źródło zarówno w powszechnym zainteresowaniu górami przez mieszkańców nizin jak i istnieniem na tym terenie wielkiej rzeszy przewodników GOT. Poza tym w turystyce górskiej mocniej niż gdzie indziej występują wszystkie zjawiska dodatnie, a także i ujemne, związane z masowym rozwojem ruchu turystycznego. Stąd obserwacja tych zjawisk i szukanie rozwiązań ma znaczenie ogólne dla całej naszej turystyki.

Czym są w tym zestawieniu nasze Złoty? Są najlepszym terenem dla wymiany poglądów i doświadczeń, są głosem opinii ludzi znających problemy górskie, a nie tylko towarzyskimi spotkaniami. Nie po to PTTK nadało nam uprawnienia przewodnickie.

Co powinno być przedmiotem dyskusji? Przede wszystkim walka o kulturę turystyczną w najszerszym pojęciu. Obawiam się, że kadra przewodnicka za mało interesuje się tym problemem, a raczej za mało działa na rzecz podniesienia poziomu kultury wyeksklowania. Wprowadzono Służbę Kultury Szlaku, ale za mało wiemy o jej działalności, jak też nie wiemy o formach współdziałania przewodników GOT z SKS.

Góry odgrywały i odgrywają poważną rolę w kulturze polskiej. Świadczy o tym szereg pięknych wydawnictw na ten temat. Ale rzecz w tym, by kultura była nie tylko w książkach, ale na codzień w schronisku i na szlaku.

Kasimiers Hempel

OGÓLNA CHARAKTERYSTYKA REGIONU ŁEMKOWSKIEGO

"Nazwą "Łemkowszczyzna" obejmujemy klin osadnictwa ruskiego w Karpatach, od rzek Oczawy i Laborca na wschodzie, po Poprad na zachodzie. Na obszarze Polski granica między Łemkami a Polakami była nieswycie ostro i ustabilizowana. Natomiast na południowych stokach Karpat obydwie sąsiadujące z sobą ludności: ukraińska i słowacka, przenikały się wzajemnie, skutkiem czego wytworzyły się szerokie tereny przejściowe". Tak to ujął wybitny znawca Łemkowszczyzny, prof. dr Roman Reinfuss, w swaj książce "Łemkowie jako grupa etnograficzna".

Wspomniany autor pisze również, że poza tym swartym osadnictwem istnieją jeszcze wyspowo rozrzucone wsie ruskie, które na terenie Spisza ciągną się niemal po Tatry /Osturnia/, zaś po stronie polskiej sięgają po Pieniny /Szlachtowa i inne/.

Nazwa "Łemków" jest stosunkowo młoda. Pochodzi ona od charakterystycznego słowa "łem"/zbliżonego do słowackiego "len"/, co oznacza po

polsku "tylko", a po ukraińsku "tyś". Nazwy tej /prawdopodobnie/ po raz pierwszy użył O. Łewycki w gramatyce ukraińskiej wydanej w Przemyślu w 1834 roku.

Łemkowie to wytrwały i pracowity lud karpaccy. Określone środowisko geograficzne /góry, lasy, potoki, przepaście, ciężkie do uprawy i mało urodzajne gleby itp./, stosunki polityczne, gospodarsze i ludnościowe wpłynęły na stworzenie własnej, specyficznej kultury łemkowskiej, przejawiającej się w architekturze, w stroju ludowym, w zwyczajach i obyczajach, w literaturze i świadomości społecznej tej grupy etnograficznej.

Poglądy na temat pochodzenia klina ukraińskiego w Karpatach są podzielone. Według autorów ukraińskich są to pozostałości starego osadnictwa ruskiego, które zostało zepchnięte w góry przez napływający element polski. Natomiast badacze polscy uważają, że osadnictwo ruskie w Karpatach jest stosunkowo młode i genetycznie wiąże się z falą pastuszy wołoskich, którzy w XV i XVI wieku nasiedlili te tereny i zasymilowali wcześniejsze osadnictwo polskie. Problem ten jest zatem otwarty i wymaga głębszych dociekań i obiektywnej analizy faktów historycznych.

Ten zwarty klin osadnictwa łemkowskiego w Karpatach utrzymywał się do II wojny światowej, a dokładniej do roku 1947, co sprzyjało zachowaniu się i kontynuowaniu wielu elementów tradycyjnej kultury ludowej, silnie tkwiącej w tej grupie etnograficznej i wiążącej ją wewnętrznymi więzami. Po II wojnie światowej, w latach 1945 - 47, jednolitość i zwartość tej grupy etnicznej została naruszona w wyniku przesiedlenia części Łemków do ZSRR /1945 - 46/ oraz na polskie Ziemię Odzyskaną /w 1947 i 1950/. Na łemkowszczyźnie pozostała tylko bardzo niewielka część tej ludności. Obecnie żyje tu zaledwie kilka tysięcy rodzin łemkowskich, składających się z tych, którzy pozostali tu po 1947 roku oraz z tych, którzy powrócili i wracają po roku 1956. Jedynie po południowej stronie Karpat - w Czechosłowacji - mieszkają oni jak dawniej w zwartej grupie /około 150 tys. osób/, prócz tego istnieje liczna, bo kilkubettysięczna emigracja łemkowska w różnych krajach zachodnich, szczególnie w USA i Kanadzie.

Region łemkowski aż do ostatniej wojny charakteryzował się dużym konserwatyzmem w zakresie tradycyjnej kultury ludowej, a zwłaszcza w gospodarce rolniczo-hodowlanej. Ogólnie rzecz biorąc był to upośledzony, biedny region tzw Polaki "B".

Po regulacji gruntów w wielu wsiach zaczęły powstawać na wydzielonych działkach pojedyncze osady i drobne przysiółki z dala od bardziej swartego centrum wsi. Wsie zaś łemkowskie miały kształt nieregularnej łańcuchówki, zwartej ulicówki albo okólnicy /domy usytuowane dookoła placu środkowego/. Były one położone najczęściej w dolinach rzek.

Uprawa roli u Łemków nabrała szczególnego znaczenia od drugiej połowy XIX wieku, z chwilą zniesienia serwitutów. Zakaz wypasu bydła w pańskich lasach był powodem znacznego zmniejszenia się jego ilości, co z kolei zmuszało gospodarstwa łemkowskie do szukania ąrdków do życia przez powiększanie pól uprawnych, najczęściej kosztem łąk i pastwisk oraz przez ulepszenie uprawy roli /oczyszczano grunty z kamieni, odwadniano je prymitywnie przy pomocy bruzd ściekowych i sączków/. Te nagłe zmiany w drugiej połowie XIX wieku w tradycyjnej gospodarce - przejście z gospodarki hodowlano-rolniczej na rolniczo-hodowlaną, przy wzrastającej liczbie ludności - były w istocie rzeczy katastrofalne w skutkach dla wsi łemkowskiej. Niełatwo przyszło rolnikom uporządkowanie naruszonego tradycyjnego systemu gospodarowania. Spadek hodowli bydła pociągał za sobą zmniejszenie zasobów obornika, który tym razem był bardziej potrzebny niż kiedykolwiek przedtem w związku z powiększeniem obszarów uprawnych.

Tak więc gospodarka łemkowska przeżywała wtedy kryzys i przez dość długi czas nie mogli Łemkowie wyjść z tej trudnej sytuacji. Rosły zadłużenia chłopskie w lichwiarskim Banku Włościańskim i w karczmach żydowskich. Szukano zatrudnienia poza rolnictwem, ale na miejscu tylko niewielu mieszkańców znalazło zarobki, wyrabiając różne przedmioty w drewna /Nowica, Leszczyny, Bielanka/, w kamieniarstwie /Bartne, Bodaki, Małastów/, w handlu dziegiem i mazią /Bielanka, Łosie/. Znaczna część ludności szukała zarobku w pracach sezonowych poza łemkowszczyzną, na tzw Mediaarach /Węgrzech/. Właśnie w drugiej połowie XIX wieku masowo wyjeżdżali na Węgry w okolice Pesztu do pracy w cegielniach i w okolice Nireghadza na żniwa i wykopki. Przywożono stamtąd do rodzinnej wsi zarobione tem zboże lub pieniądze aby wesprzeć swoje gospodarstwa. Wielu jednak młodych gospodarzy i kobiet pozostawało na Węgrzech na służbie u bogatych gospodarzy. Niektórzy dorabiali się tam własnych gospodarstw i osiedlali na stałe. W latach 1883 - 1914 sporo rodzin łemkowskich osiedliło się na Węgrzech i w Jugosławii, gdzie do dziś żyją jeszcze ludzie z tego pokolenia. Prócz tego w drugiej połowie XIX wieku istniała masowa emigracja Łemków do Ameryki Północnej /Stany Zjednoczone i Kanada/. Łemkowie osiedlali się tam przeważnie w jednej okolicy /wsiami, powiatami/. Na skutek tej emigracji w USA i w Kanadzie znajduje się obecnie około 50% ogólnego stanu ludności łemkowskiej, to jest około pół miliona osób.

Ten masowy odpływ co zdrowszych, młodszych i mocniejszych do pracy jednostek pogłębia jeszcze bardziej zły stan gospodarki rolnej na łemkowszczyźnie. Sytuacja ta poprawiła się dopiero w okresie międzywojennym po zasileniu gospodarstw środkami pieniężnymi przesłanymi do kraju z Ameryki.

Życie Łemkowskiego wieśniaka nie było łatwe. Opisał to m.in. Seweryn Uściela w swej książce "Ziemia Łemkowska przed półwieczem" /Lwów 1934/. Uściela będąc inspektorem szkolnym na teren niektórych wsi Łemkowskich miał możliwość bezpośredniego zetknięcia się z tym regionem. Píše on: "... Rusnacy są ludem rolniczym i pasterskim, uprawiają swoją lichą siemię i hodują owce i bydło. Rola jest wszędzie nędzna, na skalistym podłożu zaledwie cienka warstwa żółtej gleby, a dopiero gdzieś niżej nad potokiem można uprawiać zagony, na których oprócz owsa i ziemniaków urosnie trochę żyta, jęczmienia lub karpielei /brukwi/. Aby podtrzymać urodzajność ziemi, trzeba ją co drugi rok nawozić, a gdy kto nie ma tyle nawozu, ile go potrzebuje, zostawia część roli na ugór. Jest tu zwyczaj, że na pola leżące u górem wypędzają wszyscy owce na paszę: cała wieś pasie razem. Więc też pole przeznaczone pod uprawę ogradzają płotem złożonym z "ostrohów", to jest mniej więcej z dwumetrowych kawałów płotu, który się dowolnie rozbiiera i zestawia...". Dalej autor píše: "... Widywałem tutaj owies tak rzadki, że między nim nie tylko przejechać, ale przejechać wózkami można bez szkody. Zdziebelka na dwie piędy, na pięć wysokie, a wiecha składa się z trzech, dwóch ziarenek. Toteż mówią gawędzi, że dobrze jest "jak brat brata zrodzi"...". Oczywiście nie należy tego rozumieć dosłownie, ale plony w tym okresie były rzeczywiście mizerne. Okres ten w rolnictwie Łemkowskim szczególnie ciężki był dla dzieci, które zmuszone były pracować ponad siły /paść bydło, rąbać drwa na opał, orać, kosić, zwozić plony itp./, zastępując ojca lub starsze rodzeństwo, którzy pojechali na zarobek do Ameryki. S. Uściela wspomina też o swego rodzaju karłowaceniu dzieci z nadmiaru pracy trwającej od świtu do nocy. "Zanika też dawna wesołość /wsi/, zamilkły śpiewy po polach..." píše dalej wspomniany autor.

Wielka ofiarność i umiejętne oszczędzanie grosza przez Łemków na emigracji pozwoliły im przetrwać ten ciężki okres i stopniowo zmienić na lepsze stan swych gospodarstw. W okresie międzywojennym zaczęto powiększać stan bydła, poprawiać zabudowania, uzupełniać sprzęt rolniczy. W wyniku ożywionej korespondencji udzielano sobie porad w zakresie gospodarowania. Stano pieniądze na określone cele "w starym kraju". Następowano przez to poważne ożywienie rolnictwa na terenie całej Łemkowszczyzny. Ten ożywiony stan gospodarczy trwał jednak niedługo. Wybuch I wojny światowej w 1914 roku i wzmożone prześladowania "ludności ruskiej" ze strony Austro-Węgier, podsypane przez polski i ukraiński nacjonalizm, były podstawową przyczyną ponownego upadku rolnictwa Łemkowskiego. Co lepszych i świadomszych gospodarzy oraz postępową inteligencję Łemkowską masowo więziono i osadzano w austriackich lagrach na terenie Austrii w Talerhofie k. Gratzu. Potem przyszły poważne zniszczenia wojenne, bowiem na terenie Karpat stał front i odbywały się

działania bojowe. Pod koniec I wojny zubożenie wsi Łemkowskiej było bardzo duże.

Po wojnie Łemkowszczyzna została podzielona. Północne stoki Karpat - Łemkowszczyzna Północna - pozostały przy Polsce, a południowe - Południowa Łemkowszczyzna - przypadły Czechosłowacji.

W okresie międzywojennym rolnictwo Łemkowskie wchodzi w nową, dość pomyślną fazę rozwoju. Łemkowie mieli już duży zasób wiedzy rolniczej nabytej na Węgrzech i w Ameryce oraz środki pieniężne przesyłane lub przywożone przez emigrantów do kraju. Poważnie wzrasta wtedy hodowla bydła, rozszerza się rodzaj upraw /np o pszenicę/ i podnosi się wydajność plonów. Należy dodać, że na kilka lat przed II wojną istniała na Łemkowszczyźnie ożywiona działalność gospodarcza i oświatowa na rzecz rolnictwa. W większych wsiach Łemkowskich, jak np w Gładyszowie, Małastowie, Uściu Ruskim, organizowano kursy rolnicze, które ukończyło szereg osób z różnych okolicznych wsi. Zaczęto stosować w szerszym zakresie nawozy sztuczne oraz wprowadzono nowe uprawy, jak np koniczynę, zwiększono obszar zasiewów. Poważnie zwiększono obszar uprawy żyta i pszenicy, która wkracza na trwałe do upraw na Łemkowszczyźnie /np Uście, Klimkówka, Bielanka i inna/. Znacznie rozszerza się uprawa koniczyzny, dająca - jak na ówczesne czasy - duże plony, zwiększając zasoby paszy. Wzrasta ilość koni, co przyspiesza obróbkę gleby i szereg innych prac w gospodarstwie. Zwiększają się więc poważnie plony na zagonach, także dzięki temu, że emigranci przekazywali krowym w trwałe użytkowanie swoje grunta.

Ożywionej działalności rolniczej sprzyja pomyślnie rozwijająca się działalność kulturalno-oświatowa. Dzieci wsi Łemkowskich pobierają naukę w szkołach powszechnych w języku ojczystym. Uczono je także fachowego wykonywania wielu zajęć domowych i rolniczych, jak wyrobu przedmiotów domowego użytku, uprawy warzyw, sadzenia i szczepienia drzew itp. W tym okresie Łemkowie budują cały szereg burs i internatów dla swych dzieci uczęszczających do szkół średnich w miastach /Gorlice, Nowy Sącz, Sanok, Krynica i in./ . Wydawano wtedy również szereg pism w języku Łemkowskim w kraju i na emigracji, zawierających m.in. porady rolnicze. Straż pożarna buduje remizy, w których skupia się życie kulturalne i oświatowe wsi, tak młodzieży, jak i dorosłych. Powstają też liczne czytelnie, w których znajdowała się także literatura rolnicza. Był to więc okres powszechnego ożywienia i postępu w rolnictwie Łemkowskim. Postęp ten został jednak zahamowany wybuchem II wojny światowej, przede wszystkim z powodu masowego odpływu najzdolniejszych sił roboczych ludności, wywożonej na przymusowe roboty do Niemiec. W estatecznym rachunku wojna ta pozostawiła Łemkom puste stajnie i siasieki.

Pierwsze lata powojenne były dla ludności łemkowskiej bardzo ciężkie. Oprócz zniszczeń wojennych trwały na tych ziemiach /szczególnie na terenie Łemkowszczyzny wschodniej - sanockie, krośnieńskie/ walki z bandami UPA, powodujące dalsze wyniszczenie ludzi i ziemi, co uniemożliwiało normalną gospodarkę. Część rodzin łemkowskich w ramach akcji repatriacyjnej wyjechała do ZSRR w roku 1946, pozostali w miarę możliwości obsiali z dużym wysiłkiem pola. Jednak w ciągu niemal jednego miesiąca czerwca 1947 roku przesiedlono ludność łemkowską na Ziemię Odzyskaną Polski w ramach tzw "Akcji W" /akcję tę przeprowadzono na podstawie uchwały Rady Ministrów na terenach objętych działalnością Ukraińskiej Armii Powstańczej /UPA/ w celu ostatecznego zlikwidowania podziemia ukraińskiego. Chodziło o to - mówiąc najprościej - aby pozbyć się bandy UPA tzw "zaplecza", czyli pomocy udzielanej im - nie zawsze dobrowolnie - przez mieszkańców. Akcja ta trwała od kwietnia do lipca 1947 roku, a przesiedleniu na Ziemię Zachodnią podlegała cała tamtejsza ludność, w tym także łemkowska. - przyp. red./ Osiedlano tam Łemków, jak z powyższego wynika, w ostatniej fazie masowego osadnictwa Ziemi Zachodnich, a więc w warunkach najgorszych spośród wszystkich osadników. Osiedlanie Łemków na zachodnich ziemiach Polski opisał Kazimierz Pudło w: "Wieś Dolnośląska", s. 79-112, wyd. Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 1970, w artykule "Osadnictwo łemkowskie na Dolnym Śląsku w latach 1947 - 1969". Co najmniej dwa lata żyli tam Łemkowie w bardzo trudnych warunkach, mających swe podłoże zarówno w obiektywnych, jak i subiektywnych przyczynach wynikających z tego rodzaju przesiedlenia. Obecnie Łemkowie na Ziemiach Zachodnich to wzorowi gospodarze i obywatele.

Po dziesięciu latach pobytu na Ziemiach Zachodnich, począwszy od 1956 roku, część Łemków powróciła na Łemkowszczyznę do powiatów gorlickiego, jasielskiego, krośnieńskiego i sanockiego. Otrzymali oni, np w powiecie gorlickim, decyzje nadania im, objętych w użytkowanie przed 5 marca 1958 roku, gospodarstw jako ekwiwalent za przekazane na Skarb Państwa gospodarstwa na zachodzie, przy czym podstawą do rozliczenia był stan majątkowy sprzed wysiedlenia.

Przedstawiono tutaj najogólniejsze procesy życia ludności łemkowskiej, jej procesy migracyjne, które odegrały dużą rolę nie tylko w formowaniu się współczesnej gospodarki rolniczo-hodowlanej u Łemków, ale również wpłynęły w decydujący sposób na ich życie i dokonujące się przemiany kulturalne, morale i psychikę.

Obecnie wsie zamieszkałe w większości przez Łemków podlegają podobnym procesom przemian, jak i wsie w całej Polsce, w wyniku zmieniających się form gospodarowania, ogólnego rozwoju wiedzy i oświaty, wpływu

miasta oraz środków masowego przekazu na oblicze wsi. Ogólnie wiadomo, że po roku 1947 szybko zanika tradycyjna kultura łemkowska. Niemniej jednak, zarówno na Ziemiach Zachodnich jak i na Łemkowszczyźnie, Łemkowie zachowują jeszcze tradycyjne elementy swej kultury, co jest w stanie zaobserwować każdy turysta zainteresowany tym zagadnieniem, kiedy zawita do takich wsi łemkowskich w Beskidzie Niskim, jak Bielanka, Bartne, Nowica, Laszczyny, Kunkowa, Gładyszów, Zdynia, Konieczna, Regetów, Hańczowa, Grab, Polany, Olchowice, Tylawa, Zydranowa i in.

Paweł Stefanowski

CY POMNESZ ŁEMKU

Cy pomnesz łemku
jak dzwonyt cerkownyj dzwon,
jak woda w ryci bulkocze szumom wodospadu,
jak sia ty derewa kłaniały
rozkazaniom witru,
a ty jes cłuchaw szeptu pryrody,
jej śpiwu i płaczu,
lisiw szełestu dałekoho,
szumu ptaszynnych krył,
ryku cłenia sered temnoj noczy,
szto ledwo, ledwo tia dochodyw,
hołosu sokyr liscrubiw
i ostrzych rytmu pylynnych zubiw.

Pamiatasz łemku, napewno pamiatasz,
bo ne zabyły oczy twoi
kształta i krasy ridnoj zemli,
bo ne zabyły twoi oczy
dida, jak oraw na uboczny,
pastucha z meryndiom pry boci,
jak hnaw chudobu na horu pasty,
abo jak pas jej w potoci,
diwczynu, szto w sonecznyj den
brała na horbku dribnyj žen,
jak bosa ryku prechodyła
i, żeby kabat ne zmoczyły,
rokum ho w horu pidnosyła,
jak twoja diwka, twoja žena
z kudelom yszły do susida,
ak im furczały weretena

pry świtli lamp do piznoj noczy.
Paribkyj wyprawlaży zbytkyj,
diwczatam zahladaży w oczy.
Możes i sam priaw z diwczynom,
ktora zwilżała twojom słynom
nyteczku tuż, tuż pry kudeży.
Możes obriwaw tam za zbytkyj
od diwczat, szto na drytach pżeży?

- Ja do hnes czuju
śpiw diwczat i chłopców
pro żytia zemkiw,
pro ich dolu
i proszu, brate
moju ne odmituj wolu.
Skinezme tym śpiwom rozmowu:
ne zabrywajme zemkyj Lemkowynyj,
naj jej szanujut nasze syńnyj.

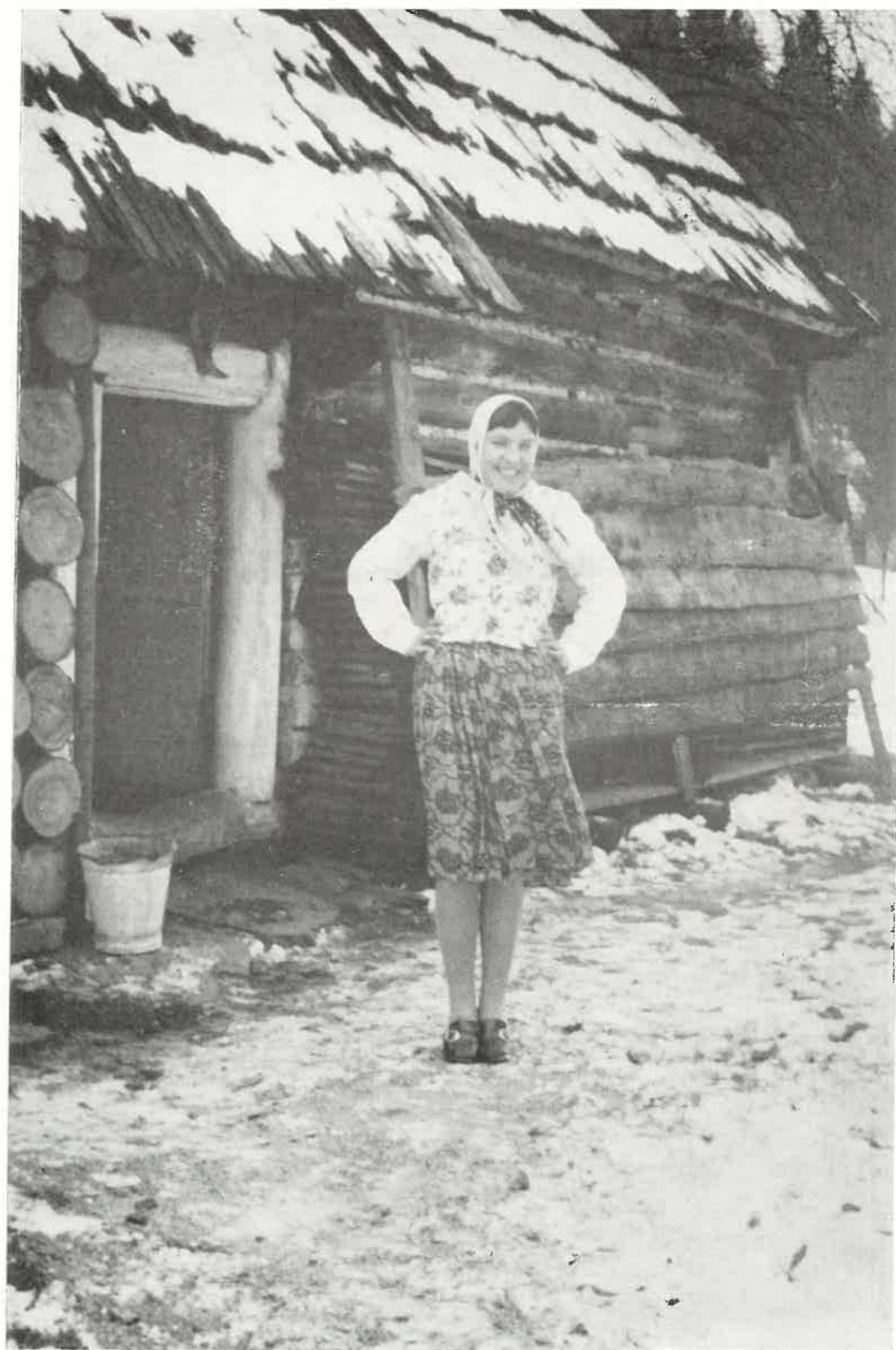
Paweł Stefanowski

Uwaga! "j" czytaj jak "y" tylnojęzykowe, zamknięte. Litera
ta jest charakterystyczna dla dialektu lemковского
jako dźwięk zmieniający znaczenie wyrazu. W przybli-
żeniu czytać ją należy tak, jakby litery tej
w ogóle nie było.

BYŁO TO W BARTNEM

Niedawno spotkałem na ulicy pana w średnim wieku, którego twarz
była mi skądś znana. Nie zdążyłem mu się lepiej przypatrzeć, gdyż nad-
jeżdżał mój tramwaj, ale do wieczora mężczyźna mnie ciekawość, skąd
pamiętam tę twarz, jeszcze młodą, ale już starzejącą się. Wieczorem
ni stąd ni zowąd zobaczyłem w myśli wyrosniętego chłopca, dźwigają-
cego w ręce duże blaszane wiadro z farbą i rozlewającego ją w chwilę
potem do kilku mniejszych. Byłem już w domu. Pan w średnim wieku był
po prostu w Bartnem w 1953 roku uczestnikiem pierwszego kursu znakar-
skiego w Beskidzie Niskim. Nic dziwnego, że go nie poznałem od razu,
upłynęło przecie blisko ćwierć wieku, a przy tym ubiór miejski i tu-
rystyczny również go zmieniały.

Ta twarz przypomniła mi pierwsze powojenne wycieczki w Beskidzie
Niskim, a one przywołały różne chwile spędzone gdzieś w trzydziestych
latach w Wysowej i Komańczy, na Kornutach i Cergowej. W zamglonej



Młoda ...

fol. TADEUSZ KIEŁBASIŃSKI



... i stara Łemka z Czarnej Wody

101. IADEUSZ KIEBASIŃSKI

panoramie czasu przesunęli się w pamięci mieszkańcy dawnych zabiedzonych wiosek, cerkiew w Nieznajowej tak oryginalna w budowie, blady pop z czarną brodą, stojący przy pasiece w Krępnej i skrzypiące wozy po dymiącej kurzem drodze przez Świątkową.

Po wojnie znowu wróciłem w Beskid, który teraz nie nazywał się już Środkowym lecz Niskim. Wróciłem w te strony, bo mała mi była ta góraska Polska kończąca się na Krynicy, na magurskim i laskowym widokregu, a właśnie za ten horyzont nęciło coś, aby pójść i na nowo odkryć niskobeskidzkie i bieszczadzkie kresy.

Było zaledwie parę lat po wojnie, trwającej w tych stronach dłużej niż gdzie indziej, gdy w gronie dawnej KTG, skupiającej ludzi PTT, postanowiliśmy wytyczyć Główny Szlak Wschodnio Beskidzki, aż po Halicz. Jedynym organizacyjnym oparciem w terenie byli nasi przyjaciele z Gorlic, którzy podjęli społecznie budowę schroniska na Magurze Małastowskiej. Ale kto przejdzie z farbą i pędzlem kilkadziesiąt trudnych kilometrów, gdy wśród starszych wojna przerzedziła szeregi, a wśród młodych braku doświadczenia nie wypełnią same dobre chęci. Dlatego postanowiliśmy uczyć młodych pod okiem starszych, jak to ma wyglądać szlak turystyczny i wybraliśmy Bartne jako miejsce nauki. Gospodarzem kursu była OKTG w Gorlicach, która zebrała "osiemnastu gniewnych", gotowych na wszystko. Byli to ludzie z Gorlic, Iwonicza Zdroju, Jasła, Kielc i Krakowa.

Gdy dziś patrzę na fotografię przed niedawno zbudowaną gajówką, której nam leśnicy użyczyli, rozpoznaję niektórych młodzieńców - dziś już starszych panów. Wytyczyliśmy wówczas, w drugiej połowie maja 1953 roku, część Głównego Szlaku od Zdyni po Magurę Wątkowską. Wśród starszych rozpoznaję jednego, który już znakuje szlaki po tamtej stronie życia.

Cóż dziwnego, że był kurs, że uczono metodyki znakowania, przecie to dziś sprawa oczywista i powszednia. W pięćdziesiątych latach w tej części gór nie było to ani proste, ani powszednie. Dlatego to Bartne z tych dni wspomnam ze wzruszeniem. Wspominam garstkę życzliwych nam Łemków - dzięki nim założono tu pierwszą stację turystyczną - wspomnam szukanie przejść w gąszczach Popowych Wierchów, by móc wyróbać ślad ścieżynki dla szlaku, wspomnam wszystkich młodych uczestników tego syzyfowego przedsięwzięcia, którzy z początku uważali swój udział jako przygodę, a wkrótce mieli uważać za ważne społeczne zadanie. I chyba było ważne.

Zaczynaliśmy po wojnie wszystko od początku i było to naprawdę nowe i inne.

Któż wie, czy nie z tego nastroju w Bartnem urodził się później pomysł wzniesienia na stoku Mareszki niewielkiego schroniska, zwłaszcza

cza gdy założona przez KTG stacja turystyczna uległa pożarowi. Tu właśnie był potrzebny pilnie punkt noclegowy dla turysty z plecakiem, a o nim zawsze myśleliśmy, zmagając się z różnymi przeciwnościami.

Wezysko to dzisiaj są truizmy, przed ćwierćwieczem trzeba było o nie walczyć. Z perspektywy czasu pierwsze znaki Głównego Szlaku w Beskidzie Niskim i Bieszczadach okazały się twórcze i pionierskie. Pokazywały więcej górskiej Polski i przeciwstawiły nieznane obszary gór dreptaniu w miejscu po Tatrach i Beskidach Zachodnich. Więcej uczyły turystyki z plecakiem i mapą, po egzotycznych dla Polaków górach. Zrządzeniem losu były one dzikie i puste, a ich scenaria krajobrazowa i etnograficzna - prawdziwie egzotyczna i tajemnicza. Trzeba je było zdobywać, nieraz za cenę porażki i niepowodzenia, ale zdobyte i poznane ofiarowywały inne, niecodzienne piękno.

I za naszymi pierwszymi znakami ruszyli rzeczywiście ci, co nie bali się trudów wyzwających wolność i szeroki oddech. I wcale to nie dziwne, że wśród nich tyłu było i jest z dużych ośrodków ciężkiej pracy, ludzi zmęczonych urbanizacją, wielkoprzemysłowym mozolem.

Wspominając Bartne nie wymienię nikogo z nazwiska. Tak to jakos wyszło. Niechaj to wspomnienie będzie więc pochwałą bezinteresownego trudu zwykłych ludzi, skupionych w Oddziałach górskich Towarzystwa, bezimiennych pionierów dobrej roboty.

I dlatego ma coś z symbolu, że nie wymienię nazwiska owego mężczyzny w średnim wieku, spotkanego na ulicy, w którym rozpoznałem młodego chłopaka, który namalował przed laty pierwszy znak biało-czerwony na drzewie obok przydrożnej kapliczki w Zdęni.

Władysław Krygowski

MAGURSKI NARODOWY

Wiosną ubiegłego roku zadrżały stare jodły na stoku Magury Wątkowskiej. W ciszę lasu zakłócaną dotąd tylko przez kuracjuszy z pobliskiego Folusza i nielicznych w Beskidzie Niskim turystów wdarł się huk maszyn. Buldożery pastwiły się nad wydartą lasowi polaną, przygotowując teren pod bazę pionierów cywilizacji. Błądzili turyści, szukając wejścia na żółty szlak, bo i oznakowane drzewa padły pod piłami. Przyjeżdżający z Gorlic i Jaska "ochroniarze" patrzyli bezsilnie na mechaniczne barbarzyństwo. Wiosną bieżącego roku na Magurę śmiało pnie się dywanik asfaltowy. Niebawem sięgnie szczytu. Na chwałę Lasom Państwowym. Potem pojawią się ludzie z siekierami i zaczną rąbać las. Pierwotnemu drzewostanowi Magury Wątkowskiej grozi zagłada, jeśli w porę nie przyjdzie ratunek - decyzja o utworzeniu Magurskiego Parku Narodowego.

Wieści o tym, co dzieje się na Magurze Wątkowskiej, przyspieszyły inicjatywę ludzi zawodowo i prywatnie zainteresowanych zachowaniem piękna Beskidu Niskiego: członków LOP, PTTK, towarzystw regionalnych, przewodników beskidzkich, krajoznawców i turystów. Właśnie - przyspieszyły, a nie dopiero wyzwoliły działanie. Pomysł utworzenia parku narodowego chroniącego najefektowniejszą część Beskidu Niskiego istniał od dawna w głowach miłośników tych gór. Warto przypomnieć, że już przed wojną członkowie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Gorlicach wykupili z rąk prywatnych działki ze skałami na grzbiecie Magury Wątkowskiej, dzięki czemu powstał rezerwat przyrody Kornuty.

Po wojnie, w latach nie najlepszej koniunktury dla idei ochrony przyrody, głosy idące z Jaska i Gorlic nie mogły jakoś znaleźć uznania. Park narodowy w pobliskich, osławionych Bieszczadach rodził się przecież w ciężkich bólach przez lat dwadzieścia. Powstał dopiero w warunkach nowego spojrzenia na rekreacyjne wartości przyrody, na znaczenie naturalnego środowiska. Sprawy te będą miały przypuszczalnie decydujące znaczenie i dla Magurskiego Parku Narodowego. Jedno jest pewne. Te lata czekania nie zniszczyły walorów Beskidu Niskiego. Te góry pomiędzy Przełęczą Tylicką a Przełęczą Łupkowską są dzisiaj dziksze od Bieszczadów. Jest to w ogóle zakątek Polski z najlepiej zachowaną w naturalnym stanie przyrodą. Uboga sieć dróg, słabe zaludnienie spowodowały, że uległ w minimalnym stopniu destrukcyjnym wpływom gospodarki człowieka. Nawet leśnej. Ale jak widać z przykładu Wątkowskiej, nieuchronne musi kiedyś nadejść. Powołany obecnie w Beskidzie Niskim park narodowy miałby stosunkowo proste zadanie - ochronę przyrody, jaka jest. Za parę lat jego głównym zadaniem byłaby już rekultywacja.

W listopadzie ubiegłego roku odbyła się w Gorlicach z inicjatywy Oddziału PTTK i Okręgowej Komisji Ochrony Przyrody w Krakowie narada w sprawie projektu Magurskiego Parku Narodowego. Przybyli licznie przedstawiciele krakowskiego środowiska naukowego, władz administracyjnych wojewódzkich z Nowego Sącza i miejskich - z Gorlic, Towarzystwa Miłośników Ziemi Gorlickiej, aktyw LOP-owski i PTTK-owski. Zabrakło tylko przedstawicieli Departamentu Ochrony Przyrody Ministerstwa Leśnictwa. Pod tym względem tradycji stało się zadość, a graniczny mur niechęci nie utracił ani cegiełki. Dyskutowano nad projektem Parku opracowanym przez prof. Stanisława Smólskiego z Krakowa.

I już na tym pierwszym gremialnym zebraniu zarysowała się różnica stanowisk. Zgoda jest co do potrzeby istnienia Magurskiego Parku Narodowego. Odmiennie jest natomiast widzenie jego rozmiarów, granic, a na tym etapie są to sprawy zasadnicze. Stanowisko naukowców z projektodawcą na czele jest maksymalistyczne i dość optymistyczne. Prof. Smólski widzi MPN o powierzchni 13500 ha, a więc jak na polskie stosunki, byłby

to park duży. Dla porównania: Bieszczadzki Park Narodowy liczy sobie tylko 5725 ha. Obejmowałby dwa najbardziej eksponowane wzniesienia Beskidu Niskiego - Magurę Małastowską na zachodzie i Magurę Wątkowską na wschodzie oraz kilka pomniejszych, jak: Ostra Góra, Dziamera, Mareszka, Swierzowa, Kolanin. Na północy granica Parku zbliżałaby się do szosy Gorlice - Żmigród, zaś na południu wyznaczałby ją projektowany odcinek Trasy Karpackiej pomiędzy Gładyszowem a Krempną. W obrębie Parku znalazłby się dwa istniejące rezerwaty skalne: Kornuty i Diabli Kamień nad Foluszem. Na siedzibę Dyrekcji przewidziano centralnie położone Bartne.

Jest to koncepcja logiczna, przejrzysta i gdyby tylko mogła być srealizowana, byłby to piękny sukces Profesora. W granicach Parku znalazłby się najciekawszy krajobrazowo rejon dwu Magur, gdzie przyroda ożywiona i nieożywiona występują w najcharakterystyczniejszych dla tych gór utworach. Nie podejmuję się tu opisywać szczegółowo, a zainteresowanych odsyłam do publikacji i opowieści niestrudzonego przewodnika, znawcy flory i fauny Beskidu Niskiego, emerytowanego nauczyciela z Biecha, mgra Mariana Chrostowskiego. Na obrzeżach tak wytyczonego Parku znajdują się miejscowości z interesującymi dla turysty sabytkami kultury ludowej: Sękowa, Ropica, Gładyszów, Świątkowa, Kotarń, Krempna, Pielgrzymka. Park byłby ponadto otoczony pierścieniem już istniejących bądź projektowanych uzdrowisk i ośrodków wczasowych. Byłby to region kompleksowego wypoczynku i ochrony sił człowieka.

Właśnie o te ośrodki wypoczynkowe chodzi adwersarzom prof. Smólskiego. Z kręgu PTTK wychodzi propozycja wyłączenia Magury Małastowskiej poza obręb Parku. Aktywiści PTTK argumentują następująco: Magura Małastowska już dziś jest znanym ośrodkiem turystyki i sportów zimowych. Tamtejsze warunki klimatyczne dają szanse przedłużenia sezonu narciarskiego. Po odpowiedniej modernizacji i rozbudowie istniejącego schroniska rodzą się olbrzymie możliwości aktywizacji turystyki kwalifikowanej w tym rejonie. Małastowska, w wyniku leśnej działalności gospodarczej /prowadzi przez nią ruchliwa szosa/ nie posiada już tej pierwotnej przyrody, co Wątkowska. Powinna więc znaleźć się nie w granicach parku narodowego, lecz jego otuliny, czyli - jak to się teraz modnie nazywa - parku krajobrazowo-turystycznego. Granica zachodnia MPN przebiegałaby więc wzdłuż drogi Małastów - Pętna - Banica. Co do reszty, PTTK-owcy zgadzają się z projektodawcą. Poprawka PTTK wynika więc z przesłanek utylitarnych. Nie zdoła ich przesłonić argument o nierealności tak najwyższych wytyczonych w projekcie granic Parku. W tym stanowisku działacze PTTK jest jakaś racja. Przynajmniej w pionierskich latach Magurskiego Parku nie powinno się wyłączać Małastowskiej z gospodarki turystycznej. Nie można jednak dopuścić, aby powstawały tam jakieś szkaradki architektoniczne, ani też do sytuacji, że jakiś ignorant zlokalizuje obok muru

urokliwego cmentarzyka wojennego pole namiotowe... O losach Magury Małastowskiej zadecyduje ustawodawca. W przekonaniu autora niniejszego powinna się ona mimo wszystko znaleźć w granicach parku narodowego. Są zagraniczne, a nawet krajowe przykłady pogodzenia funkcji ochronnych parków z turystycznymi. Magura się z Magurą nie zeższe, ale człowiek może i co trzeba, uzgodni.

Teraz trzeba sprawę Magurskiego Parku Narodowego twardo pchać do przodu. Aktyw wykazał dobrą wolę, kolej na władze administracyjne. Obszar proponowanego Parku znajduje się na terenie dwu województw: nowosądeckiego /w większej części/ i krośnieńskiego. Granica przebiega mniej więcej grzbietem Magury Wątkowskiej. Stary sceptycyzm nakazywałby obawę, czy aby któryś z partnerów nie odwróci się plecami. Wszyscy działacze indagowani w tej sprawie są jednak dobrej myśli. Uważają, że Magurski Park Narodowy może tylko wygrać, stając się sprawą dwu młodych, prężnych województw, dla których turystyka jest jedną z głównych gałęzi gospodarki. Nowosądecczanie dali już dowód zainteresowania, wysyłając na listopadową naradę wojewódzkiego konserwatora przyrody i przedstawicielkę komórki planowania przestrzennego Urzędu Wojewódzkiego, przez ich usta obiecując poparcie dla idei Parku Magurskiego i innych inicjatyw ochroniarskich na terenie Gorlickiego. Kolej na zainteresowanie ze strony Krosna i wspólną konsekwentną akcją, skuteczniejszą e doświadczenia z Bieszczadzkiem Parkiem Narodowym.

Z parkami narodowymi w Polsce nie dzieje się jeszcze najlepiej. Pod względem ich powierzchni w stosunku do obszaru kraju, znajdujemy się na dalekim miejscu wśród państw mających aspiracje do wyższego rozwoju. Naszych 13 parków ma łącznie zaledwie 103612 ha. Stanowi to 0,37% powierzchni kraju. W sąsiedniej Czechosłowacji wskaźnik ten wynosi 1,25%. Istniejące parki są z reguły małe, choćby z tej racji nie mogą należycie wykonywać swych funkcji ochronnych. Najbardziej drastyczny jest przypadek Ojcowskiego Parku Narodowego, ograniczonego do Doliny Prądnika, ginącego w przemysłowym otoczeniu. Wszystkim naszym parkom potrzeba stref ochronnych - owych parków krajobrazowo-turystycznych. Projekt prof. Smólskiego problemu otuliny Magurskiego Parku Narodowego nie pomija milczeniem. Jest to olbrzymi obszar. Ale co na to ustawodawca? Nie wszystkie regiony geograficzne w Polsce mają swoje parki. Prof. Smólski, który z ramienia Komisji Ochrony Przyrody PAN pracuje nad zagadnieniem rozwoju sieci parków narodowych w Polsce, sugeruje powołanie dalszych siedmiu: Biebrzańskiego, Gorczańskiego, Magurskiego, Stożogórskiego, Szczecińskiego i Wigierskiego. W bieżącym roku najprawdopodobniej faktem będzie Gorczański Park Narodowy. Czy następnym okaże się Magurski i w jakim kształcie? - odpowiedzi na te pytania oczekują miliończycy najdzikszych teraz gór Polski, Beskidu Niskiego.

Edward Teodorczyk

Artykuł powyższy przedrukowany jest z miesięcznika społeczno-kulturalnego "PROFILE" wydawanego w Rzeszowie, nr 4/76. Redakcja

TEMATYKA ROLNICZA I PASTERSKA W ŁEMKOWSKIEJ LITERATURZE LUDOWEJ

Łemkowska literatura ludowa w swej różnorodnej formie jest także bogata w tematykę odzwierciedlającą życie rolniczo-hodowlane Łemków. Ze względu na formę w literaturze tej możemy wyróżnić: opowiadania, pieśni, legendy, anegdoty, przysłowia i porzekadła, zagadki, gry i zabawy oraz sztuki sceniczne. Przetrwały one do naszych czasów wśród tej ludności przekazywane z pokolenia na pokolenie przeważnie drogą tradycji ustnej. Jedynie sztuki sceniczne układane przez chłopów były spisywane i drukowane.

Szczególnie dużo mają Łemkowie pieśni ludowych, w tym także pieśni pasterskich, które są dziś cenionym źródłem wiadomości o pasterstwie i hodowli bydła na Łemkowszczyźnie w minionych stuleciach. Wiele z tych pieśni było stałym elementem rolniczo-hodowlanych tradycji i obrzędów, związanych najczęściej z dorocznymi zwyczajami w gospodarstwie. Pieśni te mają dziś olbrzymią wartość poznawczą nie tylko w dziedzinie dialektu, ale także w odniesieniu do życia gospodarczego i kulturalnego ludności Łemkowskiej. Wspomnijmy choćby tylko o tym, ile w tych pieśniach, opowiadaniach, legendach itp. jest dawnych nazw rolniczych i pasterskich przedmiotów, czynności, zdarzeń społecznego i kulturalnego bytu Łemków. W dawnych Łemkowskich pieśniach ludowych odnajdujemy także wiele archaizmów języka Łemkowskiego, sięgającego swymi korzeniami do starosłowiańszczyzny.

Pieśni związanych z rolnictwem i hodowlą mają Łemkowie bardzo dużo. Są one chyba najstarszymi pieśniami Łemkowskimi i stąd najcenniejszym elementem kultury duchowej Łemków. Przetrwały długo dzięki pełnieniu m.in. dorocznej funkcji obrzędowej. Śpiewano je np. na św. Jana przy ognisku z okazji "Sobótki". Najstarsze pieśni pasterskie napełnione są miłością do ziemi, wiążą się z wypasem owiec i wołów. Mniej natomiast jest pieśni o krowach czy koniach, czyli że karpaccy Rusini byli niegdyś pasterzami i hodowcami bydła, a dopiero później zajmowali się także rolnictwem.

Anegdoty zaś i żarty są bardzo dowcipne, iskrzące się szczerą wesołością, prostodusznością i ludowym krytycyzmem. Opowiadano je sobie przy różnych okazjach, a najczęściej podczas wspólnego pasienia bydła na wspólnych pastwiskach. Najstarsze i najcenniejsze z nich dotyczą życia rolniczo-hodowlanego. Zagadki były w formie zabawy zadawanej starszym pasterzom przez starszych. Treścią ich były: otaczający świat, ludzie, zwierzęta, rośliny.

Opowiadania dotyczą przeważnie przygód hodowców bydła i rolników. Nieraz mówi się w nich o walce pasterzy w wilkami, co odpowiada prawdzie, gdyż rzeczywiście były wypadki walki pasterzy z wilkami poryjającymi owce.

Wszystkie wspomniane wyżej formy literatury ludowej przekazywane były ustnie najczęściej w długie zimowe wieczory, na "weczirkach", przy wspólnym darciu pierza czy przedzeniu lnu przez kobiety i dowcipkewaniu przez mężczyzn. Opowiadano też tam nieprawdopodobne historie o strachach i pojedynczych przeżyciach śmiazków, przechwalając się przy tym i zmyślając do potęgi.

Przy wspólnym pasieniu bydła i na wieczorkach zimowych odbywały się gry i zabawy, które miały charakter rozrywkowy, bardzo żywy, czasem też bardzo ciekawy i śmieszny. Treścią swą często nawiązywały do życia rolniczo-pasterskiego Łemków. W Bielance np. do dziś znana jest zabawa "Swyni pasty", zaś w Bartnem i Świerzowej chętnie grano "Kozy - braty" na weczirkach, w przebraniu "na kozła i barana".

Istnieją także sztuki teatralne o tematyce rolniczo-hodowlanej, jak już wspominałem wyżej, drukowane. Są one zjawiskiem młodszym, a ich druk powstał przede wszystkim na emigracji Łemków w USA i Kanadzie. W okresie międzywojennym i po II wojnie światowej o życiu wsi Łemkowskich, o ludziach i ich gospodarskich zajęciach, pisało wielu ludowych poetów, a m.in. Iwan Rusenko i Jakow Dudra.

Oczywiście w tego rodzaju artykule, jak ten, wypowiedziałem się tylko bardzo ogólnie o tematyce rolniczej i pasterskiej w literaturze ludowej Łemków. Dla miłośników Łemkowskiego regionu korzystniejszym będzie poznanie wybranych form literatury ludowej, co czynię poniżej.

Pieśni pasterskie

Oj, dohory, dohory,
Oj, wiwci z baranamy,
Bo ja szabyj juhase,
Ej chodyty za wamy.

/Komańcza/

Werszkom ydu, konia wedu,
Dołynamy wołky ženu.
Chto by chotiw, dał bym mu dwa,
Bo mi z nyma welka bida.

/Bołcarewa/

Oj, juhase, juhase,
Ej, ne puszczej na nasze,
Oj, bo moi eweazky,
Ej, ne chodiat na wasze.

/Bielanka/

Dobry tomu panbih daje,
Szto na hori koszar maje,
A pid horom kołybozczku,
Sered eeła frairoczku.

Pieśni rolnicze

Hej-ja, hej-ja!
Na wysokoj hore
Ore Wasyl, ore.
Yszczy Wasyl na śniadał...

/Mochnaczka/

Zrodyły sia terky za horamy,
Pideme my na nych z koszykamy.
Budeme torhaty, budeme łamaty
Z konaramy, z konaramy...

/Sołotwiny/

Hej, mam ja kosu,
Aże niom ne koszu.
Hory seżom, dożw seżom
Na pżeczach jej noszu...

Pokotyw sia horoszok pres wodu.
Wziaż sy staryj za ženu możodu.
Piszow staryj na poże oraty,
A możoda de korozmy hulaty...

/Bielenka/

Kazaż myżyj, że nia wozne,
Jak na hori żyto zożne.
A win wyżaż i pokosyż,
Do mene sia ne zhożosyż...

/Turynsk/

Pieśni patriotyczne

Bud zdrawa zemżyce,
Ydu k Ameryce.
Zarabiac ydu pinaz.
Bud zdrawa eestryczko,
Ne pżaczte mamyczko,
Yszczy k wań wernu
Dakoży zas ...

Hory naszymy, hory naszymy,
Hory naszymy Karpaty,
Nychto ne znat, nychto ne znat,
Hej, kielo wy w nas wartate.
Ne dame was, ne dame was,
Hory naszymy Beskidy,
Bo was daty ne kazaży,
Hej, naszymy didy, pradidy ...

Anegdoty

Kupyw Prokop woży na Madiarach welky taky, że ledwo de stajni hwy-
szły. Woży maży taky weżycz rohy, że nyma do poważy dostaważy. Jednoho
razu wiż zamachnuw sia i wbyw rohy do poważy y nyjak ne mia wyciahnuty.
Skżykaw Prokop ludy zo seża na poradu. Dowho radyży, aż jeden majmudrij-
szyj hwaryt, że treba rohy odryzaty. Wziaw Prokop pyżu i odryzaw wożowy
rohy. Tak mam Prokop jednoho woża rohatocho, a druhocho szutocho.

Pewnego razu gospodarz z Bielanki, zapytany przez rolnika z nizin
na targu w Gorlicach, jak poznać, czy krowa jest eielna, odpowiedziaż:
Wziąć krowę na próbę do domu. Na noc podwiązać krowie pod ogon wiązkę
siana. Jak przez noc cielę zje siano, znaczy się, że krowa jest eielna,
a jak nie, to nie.

... Było i tak, że gazda i jego żona w Wysowej "dociap"/zupełnie/
zapomnieli, że sprzedali jedyną krowę, jaką mieli. "Jefrosk, ta zdoilas
Bilanu? - Ta zdoikam, zdoikam. - A de możoko? - Ta w kaminnym, w mysnyku.
- Jefrosk, ta ty zabyła, że ja Bilanu prodaż? - Oj, ta sia czuduju, czom
ona ne rewe".

Gazda Onufer z Ruskoj Ropyci prodaw konia handlarium na jarmarku
w Gorżyciach i hwaryw, że chce kupyty lipszoho i dakus mołodszoho.
Handlarie sia doraz spochwatyży. Ostryńky joho koniowy hrywu, pidkrutyży
chwist, "wymusztruważy" konia dobry i pidstawyży Onufriowy do kupna.

Onufer byw już kuściok pidpytyj. Kin mu sia barz nadaż, bo tiah, aż sia
mu spid kopyt iskry sypaży i dost możodyj byw. Handlar wytiahnuw ruku,
Onufer wdaryw swojom na zhođu, zapłatyw o 70 zż wece, niż wziąż za swoho,
postawyw handlarium piw litry. Dobry już pidpytyj siw na wiz i poichaw
domiw. Za Gorżyciamy zasnuw na wozi i zbudyw sia aż na swoim podwircy,
jak sia wiz zatrzymaw. Onufriowa wyszła na dwir, taj swar sia zo starym,
czom z konia zrobyw czudaka. - Warwar, szto ty pżetesż! Ta te kin nad
koni. Ja hnes toho konyka kupyw i smot, trafyw tam, de ja meszkam - hwaryt
Onufer. - Trafyw, trafyż, ty staryj bortaku, bo to nasz kin, a tobi palunka
oczy zasłonyła, taj nycz ne wydysz!

Przysłowia i porzekadka /prypovidky/

Sij owes w bożoto, budeż zberaw zożoto.

Cużym koniom sia ne dorobysz.

Szanuj czuhu od nowosty, a czest z mołodosty.

Sim raz miriaj, a raz wtnyj.

Linywyj swe ne ma czasu.

Bud popry ludoch; wpered sia ne pchaj i zo zadu ne zostawaj.

Chto ne miriat rozumom, tot kraje nohamy.

Win by za grajcar woży hnaw do Dukli.

Kożo juchy sia dusyt, kożo cipi w marzne.

Wypyw za grosz, a zawertat za stiuku.

De sia chto wylahne, tam ho tiahne.

Chto ne szanuje swoho, tot i cużoho ne wartat.

Každyj kraj ma swi zwyczaj.

Pidka tota wiwcia, szto sia swoho stada wstydat.

Ne rychtuj sam na sebe kyja.

Zagadki

W temno-synim poży, zożotorohy woży. /Gwiazdy na niebie/

Zakinczyły żaty, zabyky serpy wziaty. /Księżyc/

Sestra do chaty, a brat poluwaty. /Słońce i księżyc/

Sztyry tyky, dwa patyky, seme wsemyrdało. /Krowa/
Ne dido, a z borodom, ne korowa, a sia doit. /Koza/
Pryszka pani z mista, mała sukien trysta, jak ij witer zaduw,
hołym zadkom błysła. /Kura/
Dwa raz sia rodyż, do szkoły ne chodyż, rachuwaty ne znaje,
a hodynu spowiszczaje. /Kogut/
Stoit chłop przy dorozu na jednij nozi; možu prysiaczy, że ma tysiaczy.
/Mak/
Zełene dytia w sto pekenok spowyte. /Kapusta/
Czerwena Paraska w soroka zapaskach, jaj jej oberaży, wszytky płakały.
/Cebula/
W żółtim reszety sim stiw czornych żukiw. /Słonecznik/

Opowiadania

Koły nianio wmerały, dały Wasylowy taku radu: - Jak wmrę, to ty pro-
daj korowu i totu staru chyżu. Łysz kęm sobi motuz z korowy, a wszytky
hroszy daj na mij pohrib. Z motuzom wyber sia w swit, win ty pryneee
szczęstia. Jak nianio kazały, tak Wasyl zrobyż. Wyrubaż sobi liskowu
pałyciu i piszoż w świt. Tak soj yezoż, yszoż, aż trafaż do pekła /czerty
zabyży zaperty dwery/. Najpersze sia wtrasyż, aże potim mu sztosy
szepko, jak diabliw-czortiw wywesty w poże.

Wziaż motuz do ruk i dawaj mirity placy po pekli. Jak to wryw czort
wartownyk, doraz przykietiw i żwiduje sia Wasyla, szto robyt. - Miriam plac
pid budowu cerkwy. Mam nakaz od niania i pozwolinia od boha - hwaryt
Wasyl czortowy. Postraszyły sia czerty, a Lucyper najbarze, że pekło
zahyne. Postanowyły czerty odkupyty od Wasyla sznur, ta ne bude maż czym
miriaty pekła. Wasyl zhodyż sia na to aż towdy, koży czerty dały mu miszok
zołotyh piniaży, złoty koni i bryczku. Tak Wasyl staw bohatym. Kupyż
sobi poże i chyżu, woły, korowy i wiwci i gazduwał jak bohacz.

Istnieje wiele tego typu opowiadań związanych wprost z życiem
ludu łemkowskiego. Mówią one o szlachetności i godności łemków.
Ale w literaturze ludowej łemkowszczyzny obok zagadnień życiowych
nie brak także pierwiastków fantastycznych i bajecznych, mających
silny związek ze zwyczajami i wierzeniami ludowymi.

Paweł Stefanowski

CERKWIE ŁEMKOWSKIE W AKWARELI STANISŁAWA HÜBNERA



Plakat z wystawy Stanisława Hübnera

fol. PAWEŁ STEFANOWSKI

Stanisław Hübner — Cmentarz wojenny
na Przetęczu Małastowskiej — akwarela

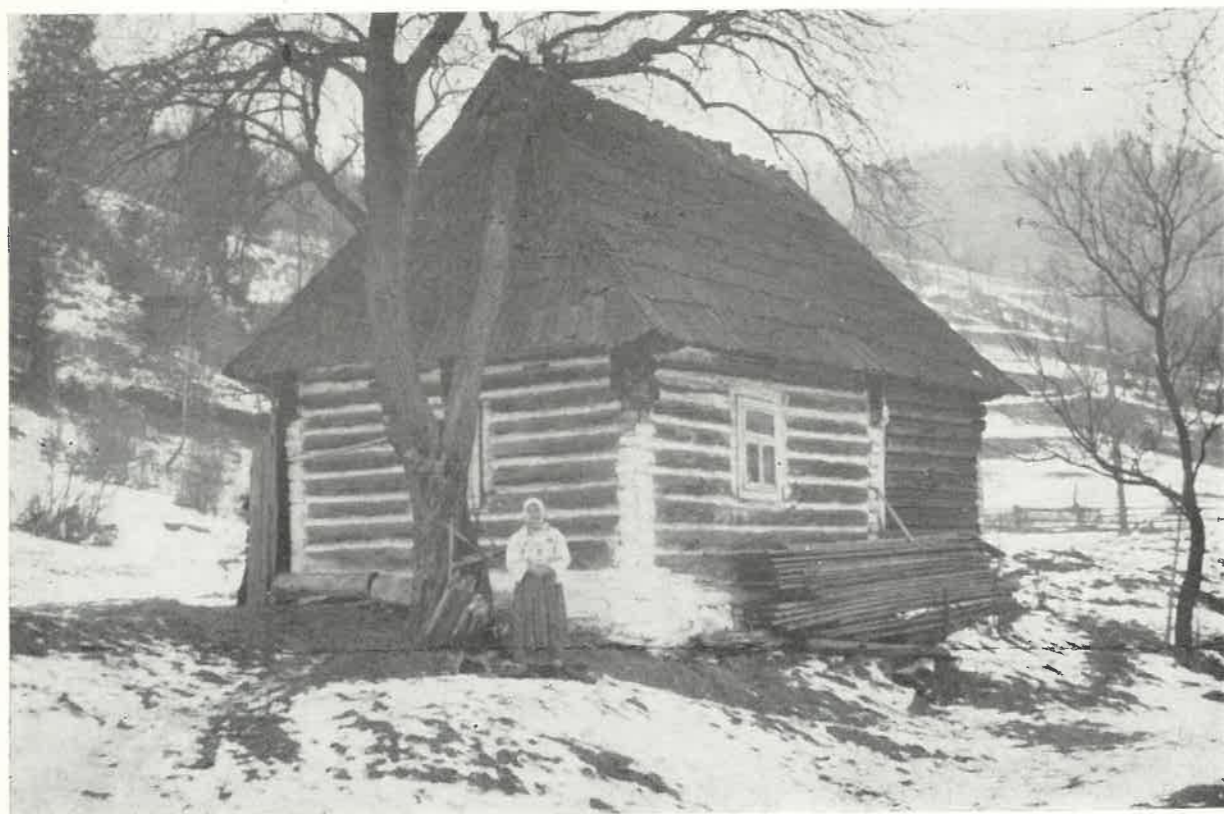
fol. TADEUSZ KIELBASIŃSKI





Stanisław Hübner — Nieistniejąca obecnie cerkiew w Fętniej — akwarela

101. TADEUSZ KIELBASINSKI



Stara „chyża” łemkowska w Czarnej Wodzie

Z wędrowek po górskich szlakach

SPOTKANIE PO LATACH

Było to nietypowe spotkanie. Nie z człowiekiem, przyjacielem, znajomym. W Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku "spotkałem się" ze starą chatą łemkowską, przeniesioną do skansenu z Komańczy. Spotkanie to przywiodło mi na myśl zdarzenie sprzed lat dwudziestu, związane właśnie z tą "chyżą", pięknie prezentującą się po przeniesieniu i rekonstrukcji na nowym miejscu. A było to tak:

Był czerwiec 1955 roku. Wędrowaliśmy już czwarty dzień Szlakiem Głównym ze Stróż w Bieszczady. Tego dnia z Rymanowa przez Puławę, pasmo Bukowicy do Komańczy. Zbliżał się wieczór, w nogach 14 godzin marszu. Zmęczeni schodziliśmy do nielicznych zabudowań nad rzeczką. W pewnym momencie, gdy byliśmy jakieś kilkaset metrów przed zabudowaniami, na naszych oczach z komina jednej z chat buchnął kłęb dymu. Usłyszeliśmy rozpaczliwe krzyki mieszkańców. Resztką sił pobiegliśmy na pomoc. Na miejscu trwała już akcja ratunkowa, ludzie wynosili z izb sprzęty, kilku chłopów biegało z wiadrami. Baby zgromadzone przed chatą zawodziły przeciągle w obcym dla mnie języku /byli to miejscowi łemkowie/. Pomagaliśmy podawać wodę wiadrami z pobliskiej rzeczki. Pożar został dość szybko ugaszony i nie spowodował większych strat. Okazało się, że zaczęły się palić sadze i zajęła się już strzecha. Zmęczeni poszliśmy dalej, do stacji turystycznej PTTK na nocleg.

Od tego czasu minęło kilkanaście lat. Mimo iż w Beskid Niski i w Bieszczady zaglądałem co roku, Komańcza jakos nie zostawała na uboczu moich wędrowek. Dopiero w 1971 roku odwiedziłem ponownie Komańczę, a pierwsze kroki skierowałem w górną część wsi, nad dolinę Barbarki. Niestety, chaty owej nie znalazłem, a na przypuszczalnym jej miejscu zastałem resztki podmurówki. Z boku stały jeszcze stare chaty, ale jakieś takie niepozorne. Przybyło za to wiele nowych, solidnych murowanych budynków usytuowanych wzdłuż nowej asfaltowej drogi.

W rozmowie ze starszą kobietą krzątającą się po obejściu dowiedziałem się, że chata ta owszem, była tutaj, ale została przed kilku laty sprzedana gdzieś do muzeum. W sąsiednich gospodarstwach potwierdzono usłyszaną wiadomość. Chatkę sprzedano do Sanoka, gdzie miała stanąć wśród innych obiektów sanockiego skansenu.

W 1975 roku wybrałem się do Sanoka do Skansenu. Tuż za grupą chat i innych obiektów bojkowskich, w części przeznaczonej dla budownictwa łemkowskiego, stała wspanialej budowy "chyża" z Komańczy. Choć była wspaniale odrestaurowana, "odświeżona", pięknie prezentująca się i oświetlona pełnym słońcem - poznałem ją natychmiast.

Stojąc przed nią pomyślałem o dziwnych kolejach ludzi i rzeczy. Czy ktoś z naszej grupy przecierającej w 1955 roku bieszczadzkie

szlaki pomyślał, że naturalnym odruchem spiesząc na pomoc zagrożonej pożarem chacie ratuje bezcenny obiekt dla skansenu w Sanoku?
Tadeusz Kiełbasiński

Trasa miesiąca

PIESZO ŚLADAMI WŁADYSŁAWA REYMONTA

Trasa miesiąca prowadzi doliną rzeki Wolbórki od Czarnocina do Tuszyna przez miejscowości związane z pobytem Władysława Reymonta - stację kolejową Czarnocin, młyn w Jakubowie i Tuszyn. Dotychczasowe trasy miesiąca prowadziły również przez inne miejsca związane z pobytem laureata Nagrody Nobla, i tak w n-rze II/74 Biuletynu odwiedziliśmy Kobiela Wielkie - miejsce urodzin pisarza /"Na Chełmową Górę", zaś w n-rze IV/75 - Lipce Reymontowskie /"Przez rezerwat Bukowiec i dolinę rzeki Bobrówki"/.

Dzisiejsza trasa wynosi około 17 km i przebiega: Czarnocin /PKP/ - młyn Jakubów - Zamość - Zawodzie - Wola Kutowa - Ruła Żeromińska - Żeromin - Ruła Żeromińska - Tuszyn /tram.nr 42/.

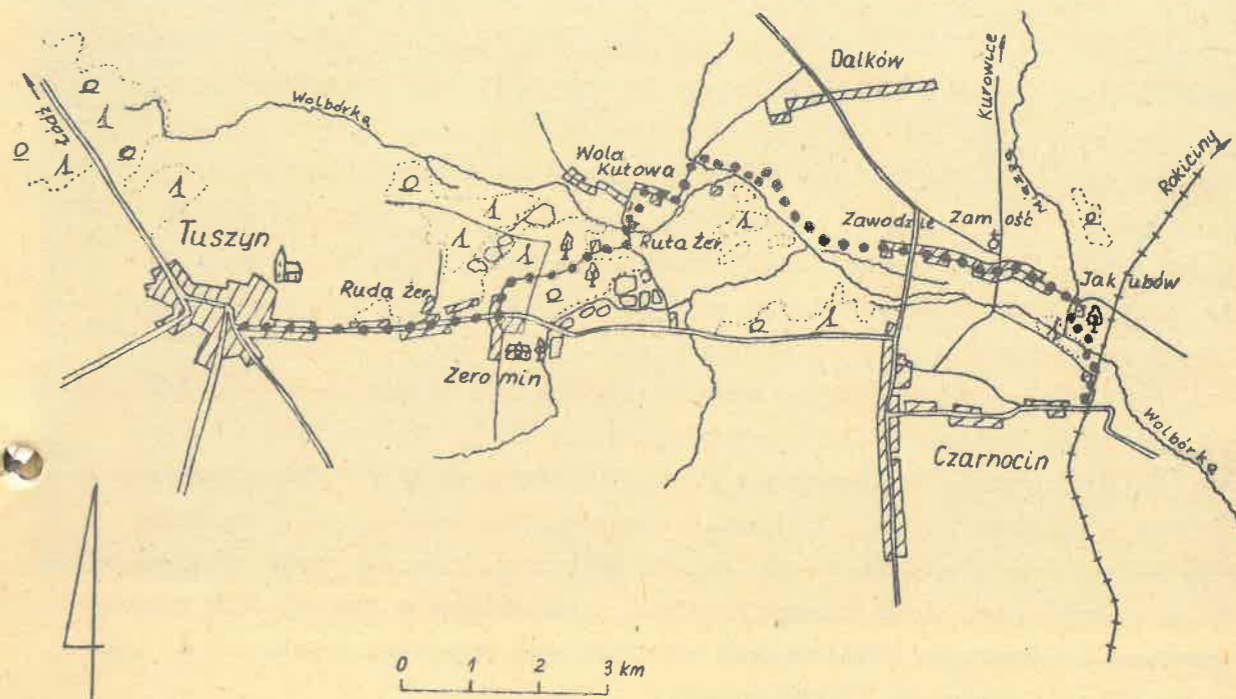
Stacja kolejowa Czarnocin

Dawna nazwa tej stacji /Wolbórka/ pochodzi od nazwy rzeki przepływającej nieopodal pod torami. Stacja ta znana jest z tego, że pracował tu w latach 1893 - 1900 Władysław Reymont, który napisał tu kilka nowel i powieść "Fermenty"

Od stacji idziemy lewą stroną torów w kierunku Rokicin. Za budynkiem kolejowym skręcamy w lewo na "czarną drogę"/wysypaną żużlem/, która doprowadza do mostu na Wolbórcę. Za mostem wędrujemy dalej ścieżką w lewo, prowadzącą wśród pól i łąk w kierunku widocznych zabudowań.

Młyn Jakubów

Pokożony nad rzeką Miazgą, około 500 m powyżej ujęcia rzeki do Wolbórki. Obok młyna pomnik przyrody - potężna lipa zwana "Lipą Reymonta". Lipa ta w 1949 roku mierzyła 5,4 m w obwodzie. W tymże roku wiatr odłamał wielki konar. Obecnie drzewo przedstawia żałosny widok. Obok leży odłamany konar oraz odłamki cementu z kamieniami, które wypadły z miejsc konserwowanych. Prawie ze wszystkich otworów wypadły plomby, niektóre zawieszki - grożą w każdej chwili wypadnięciem. Zabytkowa lipa wymaga szybkiej pomocy konserwatora przyrody. Młyn, obecnie nieczynny, był w końcu XIX wieku własnością rodziny młodego pisarza, gdzie on sam często przebywał. Obok młyna, w małym parku stoi budynek, przed którym został wystawiony w 1968 roku obelisk z tablicą, na której napis głosi: "W latach 1880 - 1906 stał tu dom, w którym spędził lata młodości i pisał pierwsze utwory W. Reymont Laureat Nagrody Nobla". W budynku, który jest własnością żony nieżyjącego siostrzeńca pisarza, p. Załęskiej, znajdują się pozostałości mebli z nieistniejącego domu rodziców pisarza



o - o - o - o - o - o - o

oraz największy w Polsce zbiór zdjęć z życia twórcy "Chłopów" i inne pamiątki. Oglądanie tych pamiątek możliwe jest jedynie w okresie letnim.

Trasa prowadzi dalej przez most na rzece Miazdze w kierunku wsi Zamość, a dalej doliną Wolbórki wzdłuż jej prawej krawędzi prowadzącej przez wsie Zamość i Zawodzie. W kierunku naszej wędrowki rozciąga się płaski, miejscami podmokły obszar. Po lewej widok na Czarnocin z kościołem. Dochodzimy do drogi przecinającej wieś Zamość /w prawo prowadzi ona do Kurowic/. Znajduje się tutaj na terenie obejścia bardzo ciekawy drewniany krzyż z prorilowanym drewnianym daszkiem. Krzyż ten, według opowiadań mieszkańców wsi, ma ponad sto lat. Przy tej samej drodze, w prawo od trasy, murowana kapliczka z początku XIX wieku.

Dalej trasa prowadzi przez wieś Zawodzie, która stanowi przedłużenie wsi Zamość. Po opuszczeniu wsi droga wyprowadza na rozległe łąki i pola. Polna droga, którą idziemy, zbliża się do Wolbórki i prowadzi dalej skrajem podmokłego lasu przastającego brzegi rzeki.

W miejscu, w którym po prawej ukazują się zabudowania wsi Dalków, skręcamy z polnej drogi w lewo i przez łąkę dochodzimy do brzegu rzeki.

Po przejściu około 300 metrów wzdłuż Wolbórki osiągamy dopływ rzeki. Idąc dalej wzdłuż tego dopływu dochodzimy do mostu i bitej drogi. Skracamy na tę drogę w lewo i dochodzimy do wsi Wola Kutowa. Przy pierwszej stojącej w polu po lewej stronie drogi skręcamy w lewo na miedzę, którą idziemy w kierunku widocznych zabudowań. Są to zabudowania wsi Ruta Żeromińska. Obok zabudowań prowadzi droga skręcająca do lasu. Droga ta, pod którą przepływa Wolbórka, dochodzimy do lasu. Tutaj skręcamy w prawo i idąc dalej przez pola dochodzimy do leśniczówki stojącej na skraju lasu. Po lewej przy drodze pomnik przyrody - dąb o obwodzie około 5 metrów. Dalej trasa prowadzi przez las, drogą w kierunku południowo-zachodnim. Przy pierwszej leśnej drodze przecinającej naszą trasę, około 20 metrów w prawo, rośnie piękny dąb o obwodzie około 4 metrów. Idąc dalej przez las skręcamy w drugą drogę odchodzącą w lewo. Droga ta dochodzimy do Żeromina, wsi położonej przy drodze prowadzącej do Tuszyna. Za lasem, w kierunku Czarnocina, znajdują się rozległe stawy ocienione pięknymi wierzbami. We wsi znajduje się park krajoznawczy, w którym stoi dwór klasycystyczny pochodzący z połowy XIX wieku, z gankiem kolumnowym i tarasem. W centrum wsi murowane czworaki z tego samego okresu, zdobione kolumnkami.

Z Żeromina trasa prowadzi drogą, początkowo przez las, a potem szosą przez Rudę Żeromińską do Tuszyna.

Tuszyn - dawne miasto królewskie, położone na pagórku, ze schodzącymi w dół ulicami. Na szczycie pagórka kościół parafialny z 1862 roku, bezstylowy. Tuszyn otrzymał prawa miejskie od Władysława Jagiełły w 1416 roku. Miasto związane z pobytem Władysława Reymonta, który pobierał tutaj naukę zawodu krawieckiego. Na budynku Prezydium Miejskiej Rady Narodowej wmurowana tablica z napisem: "Bohaterom, którzy polegli w walce z okupantem o wolność i demokrację. Społeczeństwo miasta Tuszyna, 9.5.1948 r.". Na dziedzińcu szkoły popiersie Władysława Jagiełły z napisem: "W 1000-lecie Państwa Polskiego. W 550-lecie Tuszyna".

W mieście znajduje się gospoda "Tuszynianka", przystanek PKS oraz przystanek tramwajowy linii podmiejskiej 42.

Zbigniew Parafianowicz



Lackowa 'spod Przełęczy Tylickiej

fol. TADEUSZ KIELBASINSKI

Gdzieś tam w Górach ...

fol. PIOTR EDELMAN



POLIPTYK TATRZAŃSKI

I. P o s z u k i w a n i a

Dobrze chodziło nam się razem z Józeczkiem. Podobnie jak ja był "zielony" w arkanach wspiniaczki. Wspólnie więc zdobywaliśmy doświadczenie, ucząc się na własnych błędach, niepowodzeniach i jakże drobnych sukcesach. Przeszliśmy samodzielnie kilka nietrudnych grani i opanowaliśmy proste manipulacje sprzętem taternickim. Zdawało się nam, że nadśledź czas, by zwrócić uwagę na łatwiejsze tatrzańskie ściany.

Wówczas, a były to końcowe lata czterdzieste, chodziło się po górach w butach kutych, zwanych tricuni 'ami. Podczas wspiniaczki brało się je do plecaka, a na nogi wdziewało sznurkowe kleberki bądź gumowe trampki. Nasz cały sprzęt stanowiły dwa własnej roboty młotki, pożyczone trzy haki z karabinkami i konopna 26-metrowa lina. Nie śniło się nikomu o wibramach, nylonowych linach, pątlach i ławeczkach, lekkich karabinkach i takichż hakach, ochronnych kaskach. Nie powstał też jeszcze przewodnik Witolda H. Paryskiego. Posługiwano się słowackim przewodnikiem Kroutila, opisami z Tatarnika, starym przewodnikiem Chmielowskiego i Świerza lub prywatnymi notatkami kolegów-taterników.

Zainterесowała nas wschodnia ściana Mięszowieckiego Szczytu z niezbyt trudną drogą na jej lewej połaci. Zdaża się pod nią poprzez Mięszowiecki Kocioł będący ogromnych rozmiarów niecką otwartą od strony Morskiego Oka, a zamkniętą murami trzech Szczytów Mięszowieckich i ich potężnych grzęd.

Rankiem, w ciepłym słońcu, zdążyliśmy przez piargi kotła ku wiecznym śniegom zalegającym pod ścianami. Widnieje jak na dłoni jaskrawo oświetlona nasza ściana. Jej środek przerywa pionowe żebro skalne, w dole podcięte przewieszonymi krzesanicami. Z lewej strony wchodzi droga, którą zamierzamy ścianę atakować. Przewija się przez żebro i wyprowadza po jego prawej stronie na grań podwierzchołkową. Ale to jeszcze bardzo daleko. 400 metrów w pionie.

Opis wskazuje, że trzeba iść najpierw grzędą aż na skraj długiego zachodu. I rzeczywiście - zgadza się. Jest grzęda, a za chwilę znajdujemy się na trawach szerokiego zachodu. Tu zmieniamy buty na trampki i wiążemy się liną. Cienistym żlebkiem pniemy się ku półce, z niej na następną i wciąż w górę. Trudności mierne, tylko te śniegi w kotle pod nogami stają się coraz dalsze. Jednak ekspozycja i trudności terenu nie sprawiają nam kłopotu. Natomiast zawodzi orientacja na tej rozległej ścianie. Opis w pewnym miejscu mówi coś o dwóch cyplach skalnych. Ale czy to są tamte luźne bloki na półce, czy wyżej zawieszzone, gotycko strzeliste występy skalne?

Józeczek zdejmuje plecak i stawia go przy nogach, przygotowując się do starannej asekuracji. Ja zaś wspinam się wyżej celem uzyskania



Kopuły cerkwi w Łabowej

fol. TADEUSZ KIEŁBASIŃSKI



Cerkiew w Komańczy (stan z 1962 roku)

lepszej widoczności. Trafiam na ślady przejścia naszych poprzedników, co przekonuje nas o właściwym wyborze kierunku. Zakładam więc stanowisko i przywołuję do siebie partnera. Widzę z góry, jak sięga po plecak, a ten pod wpływem lekkiego dotknięcia niespodziewanie przekręca się jak w zwolnionym filmie, koziołkując opuszcza półkę, skacze w dół coraz dłuższymi susami i spada obijając się o skały na śniegi kotła, zjeżdża po nich i ląduje na piarżysku pod ścianą.

Właściwie wspinaczkę naszą można by było kontynuować. Mamy osprzęt, nie z niezbędnych rzeczy nie przepadło. Ale w dół poleciały z plecakiem drogocenne buty, puszka wspaniałego kompotu, tabliczka czekolady i cudowne rodzynkowe ciastka - wypiek Józieczkowej mamy. Następuje chwila refleksji. Wyszukiwanie drogi i błędzenie nas, niedoświadczonych, w wielkiej ścianie potrwa długo. Po dość skomplikowanym zejściu ze szczytu nie starczy czasu, aby w tym samym dniu odszukać zgubę. Zaryzykować i przyjąć jutro? Może zginąć plecak i prowiant, nie mówiąc o butach. A żaden z nas wówczas nie dorobiłby się prędko nowych. Zapada więc zgodna decyzja odwrotu.

Stromizną ścianę schodzi się znacznie trudniej, niż podchodzi do góry. Asekurujemy się solidnie, aby odwrotu nie odbyć sposobem zaprezentowanym przez złośliwy plecak. A tak łatwo było go przypiąć do haka! W dolnej partii śniegów i wśród gruzowiska piargów odnalazł się nieco nadzarpięty plecak, a w nim obie pary tricuni. Jeszcze dalej potoczyła się puszka moreli. Ciastka znalazły się wszystkie co do jednego. Tylko czekolada zniknęła. Chyba ją zjadły świstaki.

Nieszczęśliwa próba przejścia naszej pierwszej ściany nie odebrała nam apetytu. Zmiotliśmy całą porcję ciastek popijając unrowskim kompotem. Palce lizać! Niebo w gębie!

II. F i n a ł

Ogromna sala koncertowa. Dyrygent podnosi batutę i do mych uszu dochodzi przenikający do głębi motyw "stukającego łośu" z V Symfonii Beethovena. Melodia rozwija się, wchodzi drugi motyw, reprzyza. Jednak muzyka jest jakaś odległa. Sala rośnie, orkiestra odsuwa się. Dźwięki milkną. Czyżbym zasnął na koncercie? Lecz znów rozbrzmiewają fanfary radosne i potężne. Niezadługo przyjdzie kolej na finał.

Wtem trąca mnie ktoś i "wstawaj" - słyszę. Budzę się i półprzytomnie rozglądam się wokół. Siedzę z Henrykiem na trawiastym siodle Przełęczu Schodki. W dole błyszczą śniegi wśród złomów i piargów Dolinki Pustej. Wysoko w górze świeci gorące, letnie słońce. Z bliskiej południowej ściany Zamarzej Turni daje się doskonale słyszeć melodyjny gwizd Grubego Chomika, odtwarzającego fragmenty V Symfonii. Chciałbym słuchać dalej i nie tracić nastroju, ale bezwzględny Henryk nie pozwala mi dłużej odawać się dolce fan niente. Przyszliśmy tu z Hali Gasienicowej po to,

aby się powspinać. Obok Chomików na "lewych Wrześniakach" wspina się na Zamarzej jeszcze jakaś dwójka. Nad nią na grani też widać ludzi. W filar Koziego Wierchu wszedł cały tramwaj kolejnych zespołów. Schodzimy do Pustej. Gdzie tu iść, aby nie za trudno i nie za daleko, bo to już południe? Za parę chwil wiążemy się liną i wchodzimy w ścianę Kozich Czub. Piękne trzy i pół godziny bardzo trudnej wspinaczki w litej ścianie o aporej ekspozycji. Przed wieczorem powrót na Halę.

A tymczasem przejście ściany Zamarzej miało nieprzewidziany przebieg. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero w schronisku. Gruby Chomik, ten koncertujący, utknął w ciasnym zacięciu powyżej trawersu i nie potrafił ani wejść wyżej, ani wycofać się do towarzysza. Przechodzący przypadkiem Mojżesz udzielił mu pomocy wyciągając go liną na gran. Wyratował też w opresji drugiego Chomika, umożliwiając mu szybkie dojście do Zamarzej Przełęczu. Chomikowa symfonia Zamarzej Turni zakończyła się więc optymistycznie, ale już nikt nigdy jej w górach nie słyszał.

III. T a j e m n i c a

Aura nie dopisywała prawie przez cały czas trwania zgrupowania w Dolinie Jaworowej. Toteż w każdy bardziej pogodny dzień całe braetwo obozowe rozbiegało się w różne strony, goniąc na Jaworowe, Śnieżne, Kapałkowe, Czarny, Lodowy, a nawet na daleki Garlach. Charakterystyczne stukania młotków rozlegały się wtedy jednocześnie z wielu stron.

Nam z Józikiem przypadł do gustu Żółty Szczyt drogą Stanisławskiego na zachodniej ścianie. Z Doliny Jaworowej przez Białą Ławkę przedostaliśmy się na Strzeleckie Pola. Stąd już niedaleko do żlebu zatępującego z Żółtej Ławki. Stromym piarżyskiem podchodzimy do dwóch gigantycznych tablic skalnych, zielonkawej i brunatnej, widocznych już z daleka. Między nimi znajduje się wejście w skałę.

Trasa wiedzie szeregiem kominków, zacięć i żeberak, dość regularnie przeplatanych trawiastymi i skalnymi tarasami ułatwiającymi założenie bezpiecznych stanowisk. Sceneria skalna dolnych i środkowych partii pozostawia niezatarte wrażenie, a lity granit daje prawdziwe zadowolenie ze wspinaczki. O ile bardziej urozmaicony jest krajobraz górski widziany z bezdroży taternickich od tego, jaki podziwia się ze szlaków turystycznych. Trasy turystyczne umożliwiają dokonanie syntezy krajobrazu górskiego, zaś drogi wspinaczkowe pozwalają na spojrzenie analityczne.

Przechodzimy przez szerokie zacięcie w górnej połowie ściany i zamiast zwrócić się za opisem Stanisławskiego w prawo na żeberko, kierujemy się wprost do gigantycznej nyży czy kotła z trzech stron zamkniętego przewieszonymi skałami. Jedna z nich jest nieco niższa i przecięta wyraźną szczeliną. Zdaje się, że tędy "puści", że będzie można przejść. Zakładam stanowisko i ściagam Józika. Podchodzimy pod samą ścianę

i znajdujemy tu coś zupełnie zaskakującego. Oto na wysokości 60 - 80 cm nad podstawą ścianki są wykute w skale, pokryte warstewką porostów, lecz bardzo wyraźne i kształtne cyfry: 1929.

Zastanawiamy się z Józikiem, kto kryje się za tym napisem. Sięgamy pamięcią w historię taternictwa. To chyba musi być Stanisławski z Kenarem i Steckin. Data się zgadza - 10 sierpnia 1929 rok. Prawdopodobnie doszli zacięciem do nędzy, podobnie jak my. Tu utknęli. Nieznana była wówczas technika hakowa. Dopiero w rok później Stanisławski w kominie wschodniej ściany Mnicha użył po raz pierwszy w Tatrach pętli jako pomocy we wspinaczce. Być może na trawniku w nędzy wypoczywali po nieudanej próbie przejścia blokującego zaworu. I to pewnie rzeźbiarz Kenar upamiętnił to miejsce wykuwając młotkiem i hakiem fascynujący nas napis.

A potemeszli trochę niżej, zawrócili na żeberko i otworzyli nową drogę. haki, klinując w niej palce i na pętlach windując się w górę. Jeszcze parę metrów i przewieszona ścianka jest podę mną. Wychodzę na wielką półę, s której spoglądam na malownicze dno nędzy z okalającymi ją krzesaniami. Jest to prawdziwe sanktuarium ciszy i spokoju, poznane zapewne tylko przez pięć osób: tych trzech pierwszych i nas dwóch.

Jeszcze kilka wyciągów i stanęliśmy na szczycie. Lecz wejście na wierzchołek stało się nagle sprawą drugorzędną - zbyt przejęci byliśmy tajemnicą napisu na ścianie.

IV. S u k c e s

W tym sezonie stanowczo chciałem załatwić zadawnione porachunki ze wschodnią ścianą Mięguzowieckiego Szczytu. Obaj z Henrykiem, moim wieloletnim partnerem, znamy jej obraz z imponującym środkowym żebrzem, biegnącym pionowo przez połowę wysokości. Właśnie to żebro obraliśmy za cel ataku. Podobno w całości nikt go nie przeszedł. Nowość nęci i niepokoi. A niepokój jest motorem postępu, także w taternictwie.

Pogoda od rana jest bezchmurna. Doświadczenie mówi, że to pułapka na ceprów. Ale iść trzeba. Nie można gnuśnić w schronisku w czas pogodny. Trudno było nam wygrzebać się rano, bo to i śniadanie trzeba zjeść solidnie, i znaleźć książkę wyjść, aby wpisać planowaną trasę i godzinę powrotu. Idziemy wreszcie. Jest chyba koło dziesiątej, gdy podchodzimy do śniegu. Duże jego płaty zalegają tego lata pod ścianami kotła. Jest mocno słodowaciały i stromy.

Po przejściu piarzystej grzędy i trawiastego sachodu wiążemy się liną. Prowadzimy na zmianę. Zajęci wspinaczką nie zwracamy uwagi na niebo, które nagle stało się groźnie-czarne. Zagrzmiało. Uwielokrotnione echo piorunów huczy niemal bez przerwy. Błyskawice rozjaśniają ściemniały dzień. Jesteśmy trochę zabezpieczeni przed deszczem okapami zakupy,

lecz jej dnem woda szoruje wartko. Na szczęście burza rychło przechodzi. Skała schnie szybko. Idziemy dalej. Za chwilę mijamy najtrudniejsze miejsce na drodze Świerza, którą podchodzimy pod "nasze" żebro.

Z wielkiej depresji prawej połaci ściany wybiega w górę, ku podszczytowym partiom grzędy, olbrzymie zacięcie. Nieco poniżej jego początku opuszczamy dotychczasową drogę kierując się w lewo ku własnej, ku środkowemu żebru. Żebro jest bardzo strome, zbliżone do pionu, a w kilku miejscach znacznie przewieszona. Rozpoczynamy wspinaczkę w nieznaną z lekiem o jej wynik. Od samego początku duże trudności. Czy dalej puści? Wciąż niepewność, obawa o wymuszony nieprzystępnością terenu odwrót. Prowadzimy na zmianę, lina za liną. Mocno bijemy haki stanowiskowe i nie żałujemy czasu na umieszczenie haków przelotowych. Na przestrzeni dwóch wyciągów liny ani razu nie znaleźliśmy miejsca na postawienie całych stóp na stopniach, a głębia pod piętami rosła z każdym metrem i stmaszyła powietrznością. Raduje natomiast rodzaj skały. Jest mocna, szczeliny rzadkie, lecz o ostrych krawędziach, chwytły niewielkie, lecz o szorstkiej powierzchni granitu. Staramy się trzymać jak najbliżej ostrza żebra. Przewieszona uskoki pokonujemy raz z lewej, innym razem z prawej strony, trawersując po wątkach listwach i wspinając się w górę wąskimi kominami z powrotem na ostrze. Trochę oddechu łapiemy na kilku wygodnych platformach. Wreszcie łatwiejszy teren podszczytowy. Żebro rozplaszcza się, pozostaje za nami lita skała, wchodzimy w piarzyste zbocze i bloki grani.

Przebyliśmy sześć wyciągów tej nowej drogi. Zajęło nam to sporo czasu. Na szczycie stanęliśmy dopiero o zachodzie słońca. Uścisnęliśmy sobie ręce. Byliśmy obaj zgrzani z wysiłku. Sciągnęliśmy skafandry i koszule, aby ostudzić przegrzane ciała. Zjedamy susz owocowy, herbatniki, kostki cukru, ubieramy się i rozpoczynamy ostrożne schodzenie granią na Hinczową Przełęcz. Zaczyna się ściemniać. W czeluści żlebu spadającego z przełęczy jest zupełnie czarno. Z trudem wyszukujemy perć. Schodzimy bardzo wolno. Na Wielkiej Galerii Cubryńskiej trochę się rozwidniło i można było iść szybciej. Jeszcze tylko trochę błędzenia w Dolince za Mnichem i odnalazłszy ścieżkę, a wnet ceprostradę ze Szpiglasowej, dochodzimy do schroniska. O jedenastej wieczorem pan Czesław gratuluje nam sukcesu na Mięguzu.

Władysław Manduk

CZTERY DNI W SZKLARSKIEJ PORĘBIE nieco refleksji o turystyce karkonoskiej

W 1976 roku spędziłem cztery pełne dni na wędrowniach po okolicach Szklarskiej Poręby. Ponieważ tereny te znałem już wcześniej i miałem możliwość konfrontacji, chciałbym się tu podzielić uwagami dotyczącymi spraw krajoznawczych tego terenu, drukowanych przewodników i zagospodarowania turystycznego.

Sudety są niewątpliwie obok Gór Świętokrzyskich najciekawszym terenem w Polsce /nie tylko górskim/. Nigdzie poza tym nie ma tak różnorodnych form krajobrazowych, takiej osobliwości przyrodniczych, zabytków architektury, zabytków archeologicznych, muzeów itp. Oczywiście zgodnie z tradycją najchętniej odwiedzamy Karpaty, ale porównajmy np Beskidy z dowolną grupą górską Sudetów. Beskidy mają przede wszystkim bardziej monotony krajobraz wynikający z ich jednolitej budowy geologicznej /flisz karpacki/, a z drugiej strony posiadają kilka, a nawet kilkanaście razy mniejszą ilość ostańców skalnych, rezerwatów i pomników przyrody, a raczej obiektów zasługujących na to miano, gdyż np w okolicach Jeleniej Góry jest dużo pomnikowych drzew z niezrozumiałych powodów nie wciągniętych do oficjalnego rejestru.

Przyroda Karkonoszy ma swoją specyfikę. Monokultury świerkowe, jakie dominują w tych okolicach powodują, że lasy nie są zbyt ciekawe /poza rezerwatami ścisłymi/. Ciekawsze jest piętro kosodrzewiny, gdzie na niewielkich polankach jest dużo kwiatów, oraz ogrody, parki i łąki w osiedlach górskich. Przy domach często sadzone są krzaki kosodrzewiny oraz rododendrony - krzewy związane z górnymi partiami Alp i Karpat Południowych /zakwitają w maju/. W kwietniu kwitną w ogródkach przebiśniegi, sasanki, chroniony wawrzynek wilczełyko oraz krokusy zbliżone wyglądem do naturalnych i w różnych odmianach ogrodowych. Szczególnie niektóre domy otoczone są nieomal małymi alpinariami /np przy ul. Matejki 3 w Szklarskiej Porębie/. W Górach Izerskich, niedaleko "zakrętu śmierci", znajduje się mało znany rezerwat krokusów.

W lasach nad potokami rosną całe zarośla lepiężnika białego, spotykane także w rowach przydrożnych. Wczesną wiosną biało-zielone kodygi często przebijają leżący jeszcze śnieg i wypuszczają białe kwiatostany. Później dopiero pojawiają się na kodygach duże, podobne do kopianu, liście i lepiężnik tworzy znane każdemu turystyce zarośla o specyficznej faunie owadów i pajęczaków. Zainteresowanych bliżej przyrodą odsyłam do przewodnika "Sudety" J. Jarosieka, wydanego w serii "Przyroda polska".

Jeszcze ciekawsza jest przyroda nieożywiona. Po obejrzeniu pierwszych kilkudziesięciu grup skalnych obojętnie się na ich widok, tak przecie rzadki poza Tatrami w całej Polsce. Są one miejscami porośnięte żółtymi

prostami, a wczesną wiosną dodatkową atrakcją stanowią wiszące na nich lodospady, szczególnie piękne np w dolinie Szklarki.

Oddzielny /i bolesny/ rozdział stanowi ochrona przyrody. Zilustrujmy to przykładem. Turysta wędrujący niebieskim szlakiem turystycznym do wodospadu Szklarki idzie malowniczym przełomem Kamiennej, podziwia rzekę, piękne formy skalne i w pewnym momencie dochodzi do tablicy "rezerwat przyrody". Obok tablicy resztki ogrodzenia i... wchodzi się na teren zupełnie zdewastowany wyrębem drzewa. Rezerwat ścisły w dolinie Szklarki nie jest tu wyjątkiem. Identyczną sytuację zastałem w kwietniu 1976 roku w rezerwacie ścisłym na górze Chojnik. Rozmiary wyrębu każą odrzucić myśl o cięciach pielęgnacyjnych, o usuwaniu niepotrzebnych gatunków drzew itp. Wycina się po prostu wszystkie co grubsze drzewa. I tu jest coś niezrozumiałego. Mamy w Polsce /obok Luksemburga/ najmniejszy w Europie procent terenów chronionych przyrodniczo. Powinno się więc te niewielkie obszary szanować, chronić i po prostu traktować zgodnie z przepisami, jakie tu obowiązują. A przepisy te jasno i precyzyjnie określają definicję rezerwatu ścisłego. Rezerwaty w Karkonoszach nie mogą być wyjątkami.

Największym problemem dla zwiedzających okolice Szklarskiej Poręby jest atrakcyjne zaplanowanie całonocnych wycieczek. Mam poważne zastrzeżenia do przewodników po uzdrowiskach "Szklarska Poręba i okolice" oraz "Cieplice Zdrój i okolice". Zwłaszcza ten ostatni zawiera, jak na moje upodobania, za dużo błędów oraz poważne braki, pomija np szereg zabytków architektury w samych Cieplicach. Sytuację ratuje doskonały przewodnik T. Stecia "Sudety Zachodnie", cz. I, niestety mocno już przestarzały /ukazał się w 1965 roku/ oraz przewodnik R. Chanasa i J. Czernieckiego "Sudety" wydany w 1974 roku, niestety ze względu na swój popularny charakter i duży zasięg nie jest on /i nie może być/ zbyt dokładny. W efekcie przy planowaniu trasy należy korzystać z 4 - 5 drukowanych przewodników oraz z mapy Karkonoszy. Na wycieczki należy brać z sobą 2 - 3 pozycje, co już jest rzeczą niezbyt przyjemną, gdyż powoduje nieustanne kartkowanie wydawnictw. Jeśli do tego dodam, że w sprzedaży dostępne są jedynie "Cieplice Zdrój" i "Sudety" R. Chanasa, to sytuacja robi się nieciekawa. Przeciętny kuracjusz siedzący dwa tygodnie w Szklarskiej Porębie ma w praktyce do dyspozycji tylko "Sudety" i zdany jest na zawarte tam propozycje wycieczek nie zawierające zbyt dokładnego opisu krajoznawczego. Na wycieczkę więc pójdzie, ale niewiele z niej skorzysta. Sprawą najbardziej palącą są nowe, uaktualnione wydania omawianych przewodników. Wykryłem np dwa muzea nigdzie dotąd nie wzmiankowane /poza prasą/. Jednym z nich jest "Mini-muzeum energetyki jeleniogórskiej" znajdujące się w Szklarskiej Porębie Średniej, nad Kamienną, u wylotu Czeskiej Doliny /przy szosie E-14/. Drugim jest przepiękne, nowoczesne muzeum szkła w Harrachowie na terenie konwencji po czeskiej stronie Karkonoszy. Odkryłem je przypadkowo i polecam wszystkim turystom.

Karkonosze nasuwają wiele jeszcze problemów turystycznych i krajoznawczych. Jednym z najważniejszych jest zagospodarowanie turystyczne. Ilość schronisk w Karkonoszach jest pozornie duża, ale gdy się bliżej przyjrzeć, to okaże się, że mogłaby być dużo większa. Proszę bardzo: schronisko im. Bronisława Czechá, schronisko na Szrenicy, na Hali Szrenickiej, nad Śnieżnymi Kotłami... Lista imponująca - jedne nieodbudowane po pożarze, inne remontowane od lat, to znów przekazane w inne ręce. Z drugiej zaś strony rzucająca się w oczy rozrzutność. Koszt luksusowego wyposażenia schroniska na Cnojniku można by poważnie zmniejszyć, remonty zaś przyspieszyć. Każdy dzień niewykorzystanej, zamrożonej remontem bazy noclegowej to strata dla naszego Towarzystwa, a przede wszystkim dla polskiej turystyki, tak ubogiej w bazę noclegową.

Na zakończenie chciałbym dorzucić kilka słów o turystyce narciarskiej. W okolicy Szklarskiej Poręby jest kilkanaście wyciągów narciarskich różnych typów. Nie jest więc źle, choć np z niezrozumiałych powodów wyciąg krzesełkowy na Szrenicę zamknięto w kwietniu br, tuż po świętach, a więc jeszcze w pełni sezonu narciarskiego. Chyba można było przesunąć remont o dwa - trzy tygodnie. Ciekawe refleksje nasuwa natomiast wędrowka Droga Przyjaźni biegnącą granicznym grzbieciem Karkonoszy. Wszyscy Czesi wędrują na dalekie wycieczki na nartach - biegówkach, wszyscy Polacy na drogim sprzęcie zjazdowym "kręcą" w kotłach i na półkach w pobliżu wyciągów. Ten zanik turystyki narciarskiej w Polsce jest zastanawiający - tani sprzęt /tzw śladowki/ jest w sprzedaży, a każdy unika turystyki przedkładając nad nią zjazdy, wyciągi i półka narciarskie. I co ciekawe - ci sami turyści, którzy w lecie z zapałem wędrują po górach, w zimie przedstawiają się zupełnie na narciarstwo zjazdowe.

Przemysław Pilich

OLIMP I ŁÓDZIANIE

W ramach turystycznej wyprawy autokarem do Grecji i Turcji, zorganizowanej w czerwcu 76 roku przez Łódzki Oddział PTTK, nie obeszło się oczywiście bez wycieczek górskich. Nic dziwnego - w składzie wyprawy znalazło się kilku byłych i aktualnych członków Klubu Turystów Górskich PTTK oraz Klubu Wysokogórskiego, a ponadto kilku niezrzeszonych miłośników turystyki górskiej. Nie od rzeczy będzie dodać, że kierownikiem wyprawy był znany "góral" - kierownik Biura Oddziału PTTK, kol. Przemysław Wojciechowski. Zresztą choćby nawet ktoś chciał ominąć góry w tej wyprawie - okazałoby się to niemożliwe. Wyższe i niższe wzniesienia i całe łańcuchy górskie towarzyszyły nam wiernie podczas całej wyprawy, i to zarówno w głębi kraju, jak i na wybrzeżu morskim. Pierwszą wycieczkę w góry zorganizowaliśmy podczas trzydniowego wypoczynku w miejscowości Topçam w Turcji, leżącej w odległości 14 km

od Antalii. Zaintrygowała nas prawie pionowa ściana górską, wznosząca się o około 2 km od wybrzeża i naszego obozu na wysokość 800 - 1000 m. Janek Chlebowski zauważył na szczycie jakąś "kupę patyków", za co zbeształ go Zbyszek Scibiorek, który - obejrawszy owe "patyki" przez lornetę - stwierdził, że nie można profanować regularnego budowlanego rusztowania takim porównaniem. Domyślaliśmy się, że z przeciwnej strony góry musi być jakiś dojazd na szczyt, ale od strony wybrzeża skały wznosiły się prawie pionowo, a nawet można było zauważyć sporo przewieszek. Doszliśmy do wniosku, że bez sprzętu wspinaczkowego nie ma sensu pchać się pionowo do góry. Postanowiliśmy pójść mocno w lewo, w stronę obniżonego siedła, a następnie po grani dojść do szczytu. Postanowiliśmy, gdyż w wycieczce brali jeszcze udział koledzy Zbyszek Scibiorek i Józek Sowała.

Początkowo szliśmy kamienistym dnem wyschłego potoku, pokonując gdzieś niedzie przeszkody w postaci olbrzymich, wypolerowanych przez wodę głazów, a następnie weszliśmy w piniowy las porastający łagodne zbocza. Pinię o grubych pniach i fantastycznych kształtach, z długimi jasnozielonymi igłami, rosnące stosunkowo rzadko i tworzące coś w rodzaju kędzierzawych czupryn, wydały się nam szczególnie urocze. Po drodze minęliśmy dwie obszerne polany, na których stały poprzednio zabudowania pasterskie. Po dłuższym marszu dotarliśmy do dość stromego żlebu, którym bez specjalnych trudności podeszliśmy pod przełęcz i zaczęliśmy tawersować w prawo do grani. Stąd otworzył się widok na ładną dolinę schodzącą do morza po drugiej stronie grzbietu. Skacząc z kamienia na kamień i narzekając trochę na ostre krzewy raniące łydki /byliśmy w krótkich spodniach/, posuwaliśmy się rażno do przodu i w górę. Już blisko szczytu zboczyliśmy z grani i trochę skonsternowani znaleźliśmy się na świeżo budowanej drodze wiodącej na szczyt. Widać było jeszcze liczne ślady otworów pozostałych po odstrzałach skał i chociaż środek drogi był uporządkowany - po obu stronach leżały większe i mniejsze odłamy głazów. Po drodze, bliżej szczytu, przystanęliśmy, aby obejrzeć z góry pobliski port, dolinę i widniejące w dali miasto. Tak zachwycaliśmy się panoramą okolic Antalii, że nie zwróciliśmy nawet uwagi na jakiegoś Turka pracującego przy drodze. Wreszcie sam zbliżył się do nas, a my, zorientowawszy się, że nie znamy żadnego obcego języka, wyjaśniliśmy sprawę narodowości. Wskazując palcem na Turka mówiliśmy: Turcja, Turky, na co on kiwał potakująco głową. Następnie wskazując na siebie powtórzyliśmy kilkakrotnie: Poland, Polonia, co pobudziło go do szerokiego, przyjaznego uśmiechu. Z przekonaniem powtórzyliśmy za nim, że "Antalia güzel" /Antalia piękna/, a następnie zapytaliśmy, czy na górze jest woda, markując czynność picia i mówiąc: wasser, woda. Znowu potakujące skinienie głową i... razem poszliśmy na górę. Byliśmy zaskoczeniu pięknem i rozmachem realizowanej tu inwestycji. Buduje się tu mianowicie na tym panującym nad Antalią szczycie, kasyno,

hotel, kawiarnię, dyskotekę, bar i parking - wszystkie konstrukcje wylane w betonie. Główny budynek w kształcie grzyba na grubym pniu będzie wyposażony w taras ulokowany na obracającym się pierścieniu, tak że goście siedzący przy stolikach nie ruszając się z miejsc będą mogli oglądać kolejno panoramę morza, szczyty Taurusu, doliny schodzące z gór, port i Antalię. Na górne tarasy budynku prowadzi zamiast schodów pochylnia wijąca się wewnątrz budynku łagodną spiralą. Podziwialiśmy przepiękne widoki morza, lasów i gór - wszak to w tej ponoć okolicy znajdowały się legendarne ogrody Edenu... Zrobiliśmy z gościnnym Turkiem kilka zdjęć, obejrzelśmy pokazane nam przez niego plany budynku, wypiliśmy wreszcie po trzy szklanki dobre, zimnej wody. Turek chciał nas jeszcze poczęstować herbatą, ale odmówiliśmy nie zabrawszy ze sobą ani jednego lira. Żałowaliśmy bardzo, że nie wzięliśmy ze sobą przynajmniej paczki polskich papierosów, żeby zrewanżować się za gościnę i subiekcję. Niestety wybierając się w góry nie przewidzieliśmy takiego spotkania, wobec czego na pożegnanie "zafundowaliśmy" jedynie Turkowi serdeczny uścisk dłoni i pokiwalismo mu Rękami. Tym razem prosto ze szczytu weszliśmy na grań i po godzinnym marszu znaleźliśmy się w obozie.

Nie Antalia jednak, mimo swego niezaprzecznego uroku, była głównym górskim celem wyprawy. Mieliśmy w planie legendarny Olimp w Grecji. W drodze powrotnej z Peloponezu poprzez Delfy i Termopile do Salonik zatrzymaliśmy się prawie naprzeciw pasma Olimpu, na campingu nadmorskim Sylwia. Dwudziestego czwartego czerwca 1976 roku /czwartek/ wybieramy się na najwyższy szczyt masywu Olimpu - Mythikas /Pantheon/ w składzie: Zbyszek Ścibiorek, Józek Sowała, Krzysiek Gronski i ja. Bierzymy ze sobą dwie horoleski, dwa pudełka konserw, chleb oraz herbatę i sok porzeczkowy do picia, a ponadto skafandry, swetry, latarki i jedną linę zjazdówkę. Całe szczęście, że nasz kierowca Kola /Tadeusz Jerzak/, z którym wyjechalibyśmy o godzinie 5 rano, podwiózł nas autokarem aż do bazy wypadowej w Prioni, gdzie mieści się schronisko, w odległości 25 km od campingu Sylwia oraz 18 km od miejscowości Litokhorn. Dotarliśmy tam po wąskiej, stromej, wielozakrętowej drodze szutrowej na wysokość około 1100 m n.p.m. Stąd i tak cała wyprawa ma trwać około 10 godzin. Gdyby nie autokar - nie moglibyśmy zdążyć na szczyt i z powrotem w przeciągu jednego dnia wobec niewielkiej wysokości miasta Litokhoron nad poziomem morza.

O godzinie 7 wyruszamy z Prioni, a około 10-tej docieramy do schroniska "A" na wysokości 2100 m n.p.m. ścieżką wydeptaną przez ludzi i karawany mułów dostarczających materiały i prowiant do schronisk wysokogórskich. W schronisku "A" wzorem innych wpisaliśmy do książki pamiątkowej kilkanaście słów od nas, słów może nieco naiwnych, a nawet pretenjonalnych, ale wtedy nic innego nie przychodziło nam do głowy: ... Przedstawiciele polskiej wyprawy turystycznej Grecja - Turcja 1976 w drodze na chmurny Olimp składają hołd mitycznym bogom greckim oraz

pozdrawiają mieszkańców tej ziemi i wszystkich turystów...

Około godziny 12 docieramy na szczyt Skala /2860 m n.p.m./ Droga stosunkowo łatwa, ale podejście długie, uciążliwe i wyczerpujące. Po krótkim odpoczynku i lekkim posiłku wyruszamy dalej, na Mythikas. Tu już jest ciągła huśtawka w górę i w dół, przy znacznych ekspozycjach, po stromych skałach ułożonych - według Zbyszka - jak książki w bibliotece. O godzinie 13 jesteśmy na szczycie /2917 m n.p.m./ Wpisujemy nasze nazwiska do książki znajdującej się w schowku z nierdzewnej blachy. Na szczycie spotkaliśmy dwoje turystów ze Słowacji, starego /71 lat! / turystę greckiego oraz czterech młodzieńców z miejscowości Litokhorn. Stary Grek i para słowacka odeszli wcześniej, a my spędziliśmy na szczycie łącznie około półtorej godziny, korzystając z tego, że żaskawy Zeus obnażył część szczytów górskich, tak że mogliśmy podziwiać panoramy bliższych i dalszych gór i dolin. Przez jakiś czas towarzyszyli nam młodzi Grecy. Na ich prośbę zrobiliśmy wspólne zdjęcie i wymieniliśmy adresy obiecując przysłać z Polski odbitki na pamiątkę. Około godziny 14,30 pożegnaliśmy najwyższy szczyt Olimpu. Droga powrotna została wręcz poźknięta przez naszą czwórkę, gdyż o godzinie 19 dotarliśmy do Prioni, a zatrzymaliśmy się jeszcze po drodze na dłuższy posiłek. Z przyjemnością umyliśmy się w górskim orzeźwiająjącym potoku, ścierając z butów "pył Olimpu". W pół godziny po dotarciu do Prioni przyjechał po nas autokar z gronem witających nas koleżanek i kolegów.

Jak się okazało, wejście na szczyt Olimpu w okresie letnim nie przedstawia większych trudności, należy tylko uważać, że względu na możliwość osuwania się kruchych skał i piargów w partiach najwyższych. Należy ponadto zaopatrzyć się w odpowiednie, mocne obuwie oraz brać pod uwagę swoje możliwości fizyczne i aktualną kondycję - bądź co bądź różnica wysokości między schroniskiem w Prioni a Pantheonem wynosi około 1800 m. W przypadku braku samochodu trzeba przewidzieć wycieczkę przynajmniej dwudniową, z noclegiem w schronisku.

Jeżeli chodzi o ogólne wrażenie z wycieczki i jeżeli mam być szczery - to nie zamieniłbym naszych Tatr na góry greckie. Pasma Olimpu ma wprawdzie swój urok specyficzny i jest wyższe, ma wiele ciekawych form skalnych, owiane jest od tysiącleci legendą i znane na całym świecie choćby ze słyszenia - ale nie jest tak piękne i tak barwne, jak Tatry.

Zdzisław Barski

W GÓRACH ZANGEZURU

W Armenii bywa sporo Polaków - nieraz, gdy w Erywanu pytałem się o drogę, to od razu po akcencie /a muszę się przyznać, że Puszkina czy Lermontowa uszy by zatkali z przerażenia, gdyby go usłyszeli.../ bez trudu rozpoznawano moją narodowość.

Nasi turyści poznają w Armenii Erywań, siedzibę patriarchy - Eczmiandzin, jezioro Sewan, wykutą w skale świątynię Gerhardu... Ale to wszystko - w góry Zangezuru na ogół się nie idzie. Tam nie ma tras turystycznych, a w małych hotelikach personel nawet nie wie, że dla cudzoziemców obowiązują inne stawki niż dla własnych obywateli.

Z Erywanu jedziemy lokalnym autobusem. Na dworcu autobusowym czekamy na niego ponad pół godziny - nic dziwnego, musiał czekać, aż przejdzie jakiś ogromny kierdel. Wyruszamy więc już z opóźnieniem, które powiększa się, gdyż znów raz i drugi musimy zatrzymać się z powodu stad baranów blokujących drogę. W skład każdego takiego stada, oprócz masy owiec, wchodzi pies przypominający nieco owczarka podhalańskiego, ale o bardziej żółtej sierści, parę osłów grzecznie niosących juki - no i pastuch z kijem.

A potem - wędrowka po górach przypominających plastry miodu - całych podziurawionych setkami jaskiń. Prawie koło każdej osady znajduje się jej protoplastka - osada jaskiń. Czasem zresztą do dziś starsi ludzie wolą mieszkać tradycyjnie w jaskiniach.

Góry Zangezuru są zbudowane z tufu - szybko twardniejącego na powietrzu, ale w stanie świeżym dającego się ciąć piłą. Toteż drażenie jaskiń w tych skałach nie było nigdy ciężką pracą - wystarczyło przebić się przez pierwszą twardą warstwę, aby potem już swobodnie pogłębiać otwór do potrzebnej powierzchni mieszkalnej, wykonywać w ścianach duże nisze na pościel czy małe na lampy - trzeba tylko było nie lenić się i wykonać pracę zanim kamień stwardnieje. Ale przecież Ormian nikt o lenistwo posądzać nie może.

Że zaś Armenia nigdy do spokojnych stron świata nie należała - a mieszkańcy Zangezuru mieli oprócz nękających wciąż ten kraj Turków, także i napadających ich Persów po sąsiedzku - więc mieszkania jaskiniowe miały nad innymi tę jeszcze przewagę, że nie łatwo było plądrującym kraj najeźdźcom do nich się dostać. Jedyne drzwi do jaskini znajdowały się na wysokości kilkunastu metrów, a jedyny dostęp do nich stanowiła łatwo wciągana lina.

We wsi Weri Szen poznaję jednego jej mieszkańca, który do murowanego domu przeniósł się w roku 1958 - może by mieszkał w jaskini do dziś, gdyby nie nieuczciwość sąsiada, który poprzednio zamieszkiwał tę pieczarę. Sprzedając ją nie uprzedził nabywcy, że znajduje się w niej świę-

te miejsce, co więcej - aby ten oglądając jaskinię przed kupnem nie zorientował się - podstępnie święte miejsce zamurował. Przez kilka lat było wszystko w porządku - nowy właściciel spokojnie sobie gospodarował i nigdy nie myślał porzucić pieczary dla jakichś nowomodnych domów - aż tu nagle żona zaczęła mu chorować. Gdy lekarze nie mogli już jej pomóc, poszli do "wiedzącej" kobiety i ta wyjawiała im, że widocznie w domu musi być jakaś świętość, urażona, że nie oddaje się jej należnej czci. Zaczęto szukać - i rzeczywiście pod przykrywającą warstwą gliny znaleziono mały haczkar - kamień ozdobiony znakiem krzyża, tak pospolity w Armenii, jak u nas krzyże i kapliczki przydrożne. Zaraz ofiara została złożona, parę kogutów przypłaciło gniew haczkara życiem i - choroba ustała. Ale mieszkanie wspólne z haczkarem nie zawsze jest zbyt przyjemne - toteż właściciel teraz wolał już zamieszkać w nowej wsi, dalej jednak uważa pieczarę za swoją własność i opiekuje się swoim świętym miejscem.

Ciekawe - jaskinia jest opuszczona, przed nią reśnie wspaniała grusza, nikt jej nie pilnuje - ale też i nikt nie ośmielił się z niej kraść owoców. Gdy dojrzeją - przyjdzie synowa właściciela, zerwie i wszystkie rozda sąsiadom - na ofiarę. No tak, drzewo rośnie na świętym miejscu, owoce więc też mają charakter ofiarny.

Czasem na samotnym haczkarze widzę leżące jabłka - ot, 3 - 4 sztuki. Gdy we wsi zapytałem się, jakie ma to znaczenie, powiedziano mi, że jest to ofiara - każdy przechodząc może zjeść takie jabłko, a tym samym pomyśli i westchnie na intencję ofiarodawcy.

Najczęściej jednak ofiary składa się z kogutów. Wyseko pod szczytem dostrzegam piękny haczkar. Z trudem wspinam się do niego, ale fotografując muszę zatykać nos: u wejścia do sąsiedniej pieczary leży sporo łapek i łebów kogucich... ofiarne mięso rozdaje się pomiędzy znajomych, a łeb i związane łapki pozostają na miejscu. Za te wnętrza pieczary pięknie wyprzątane, wysypane piaskiem, leży pęczek cienkich świeczek, zapaliki, na ścianach święte obrazki najrozmaitszego pochodzenia.

W tej okolicy świętych miejsc jest sporo - przed najbardziej znanymi z nich nieraz składa się ofiary także i z baranów - ale to utkwiło w mej pamięci jako specjalnie trudne do osiągnięcia. A Ormianie zasadniczo bez potrzeby w góry nie chodzą - przez cały czas mojej kilkudniowej włości po Zangezuru raz tylko spotkałem grupę czterech młodych ludzi z plecakami. Nie ma tu ani jednego schroniska, nie ma szlaku - gdy jesienią owoce seją z hal, góry pozostają puste.

A w górskich miasteczkach ludzie nieraz ze zdziwieniem patrzyli na cudzoziemca w skafandrze i w spodniach wpuszczonych w mocne buty turystyczne - i mówili: "wyglądasz jak partyzant...". Taki ubiór z party-

zantką jeszcze im się kojarzył, ale z turystyką to już nie. Ostatecznie nie jeden z nich walczył w oddziałach partyzanckich, ale z plecakiem w góry nie chodził - jaskinie tamtejsze są już opuszczone, cmentarze zarosły, stare kościoły dawno się już rozsypały - po cóż więc tam wędrować?

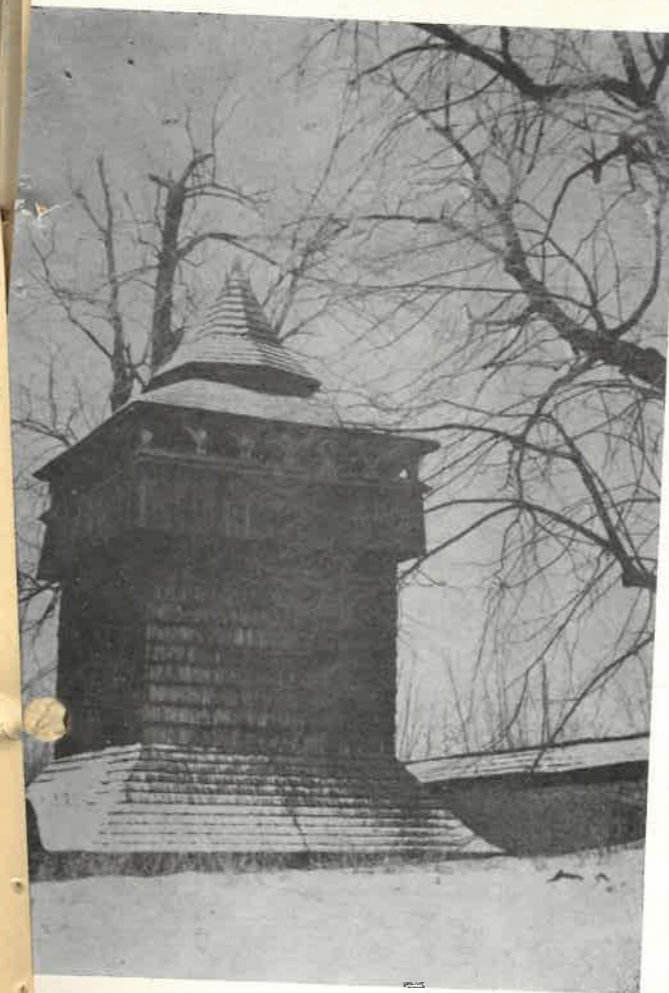
Janusz Kamocki

REFLEKSJE NA 100-LECIE "WIERCHÓW"

Niewiele jest w świecie wydawnictw, które mogą poszczycić się stuletnią tradycją. Do tych nielicznych, które przetrwały dwie wojny światowe, zaliczyć należy rocznik poświęcony górcom, początkowo wychodzący pod nazwą "Pamiętniki Towarzystwa Tatrzańskiego"/1873 - 1922/, a następnie, od roku 1923, pod nazwą "Wierchy".

Roczniki te były i są niewyczerpaną skarbnicą wiedzy o górach i ludziach gór. I nie mogło być inaczej, skoro od zarania ich powstania aż do dnia dzisiejszego komitet redakcyjny składał się zawsze z ludzi, których nazwiska wpisały się złotymi literami w dzieje i rozwój naszego Towarzystwa i naszej narodowej kultury. Wystarczy wspomnieć, że pierwszy Komitet Redakcyjny "Pamiętników TT" składał się z ludzi tej miary, co dr A. Alth - profesor geologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wł. L. Anczyk - pisarz i działacz kulturalny oraz dr M. Nowicki - profesor zoologii UJ, artykuły zaś do "Pamiętników" pisali m.in. Tytus Chałubiński, Juliusz Chmielowski, Jan Kasprowicz, Mieczysław Orłowicz, Jan Gwałbert Pawlikowski, Kazimierz Sosnowski, Leopold i Mieczysław Świerżowie, Borys Wigilew, Hugo Zapałowicz, Mariusz Zaruski, Walery Eljasz i wielu innych znanych w kraju i świecie ludzi gór.

W roku 1923 powołany został jako kontynuator "Pamiętników Towarzystwa Tatrzańskiego" nowy rocznik poświęcony nie tylko Tatrom, ale wszystkim górcom i góralszczyźnie, któremu nadano nazwę "WIERCHY". Inicjatywa służenia za pośrednictwem "Wierchów" wszystkim górcom wyszła od ich wieloletniego /1923 - 1934/ redaktora naczelnego, prof. dr Jana Gwałberta Pawlikowskiego, a ideę tę współrealizowali wszyscy członkowie redakcji. I tak do roku 1929 w skład Komitetu Redakcyjnego wchodził - obok prof. Jana G. Pawlikowskiego jako Redaktora Naczelnego i dr Walerego Goetla - prof. dr Adolf Chybiński, dr Roman Kordys i major Bronisław Romaniszyn. Od 1930 roku dwuosobowo kierowali wydawnictwem Jan, G. Pawlikowski i Walery Goetel. Rocznik XIII za 1935 rok ukazał się pod redakcją prof. dr Walerego Goetla /Redaktora Naczelnego/ i red. Jana Alfreda Szczepańskiego. Pierwszy powojenny rocznik za 1947 rok ukazał się pod redakcją prof. dr Walerego Goetla /Redaktor Naczelnny/, mgr Władysława Krygowskiego, mgr Bohdana Małachowskiego i red. Jana A. Szczepańskiego.

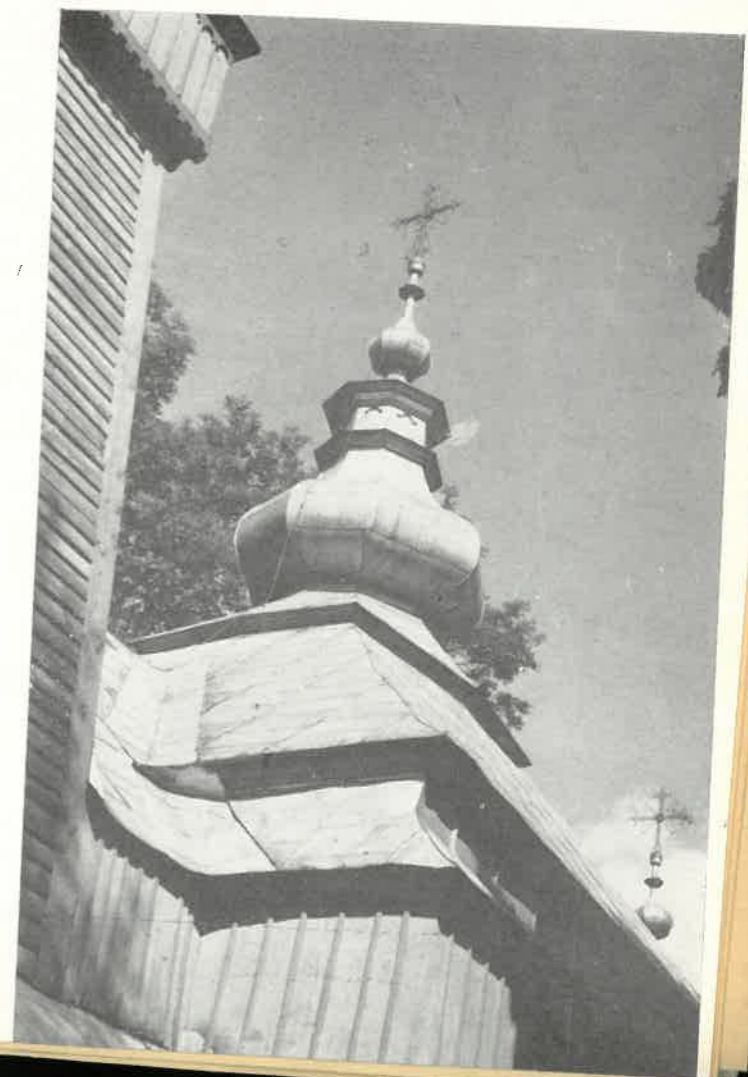


Dzwonnica ...



... i cerkiew w Radrużu

fol. ANDRZEJ ROBAK



Cerkiew w Mochnacze

fol. TADEUSZ KIELBASIŃSKI

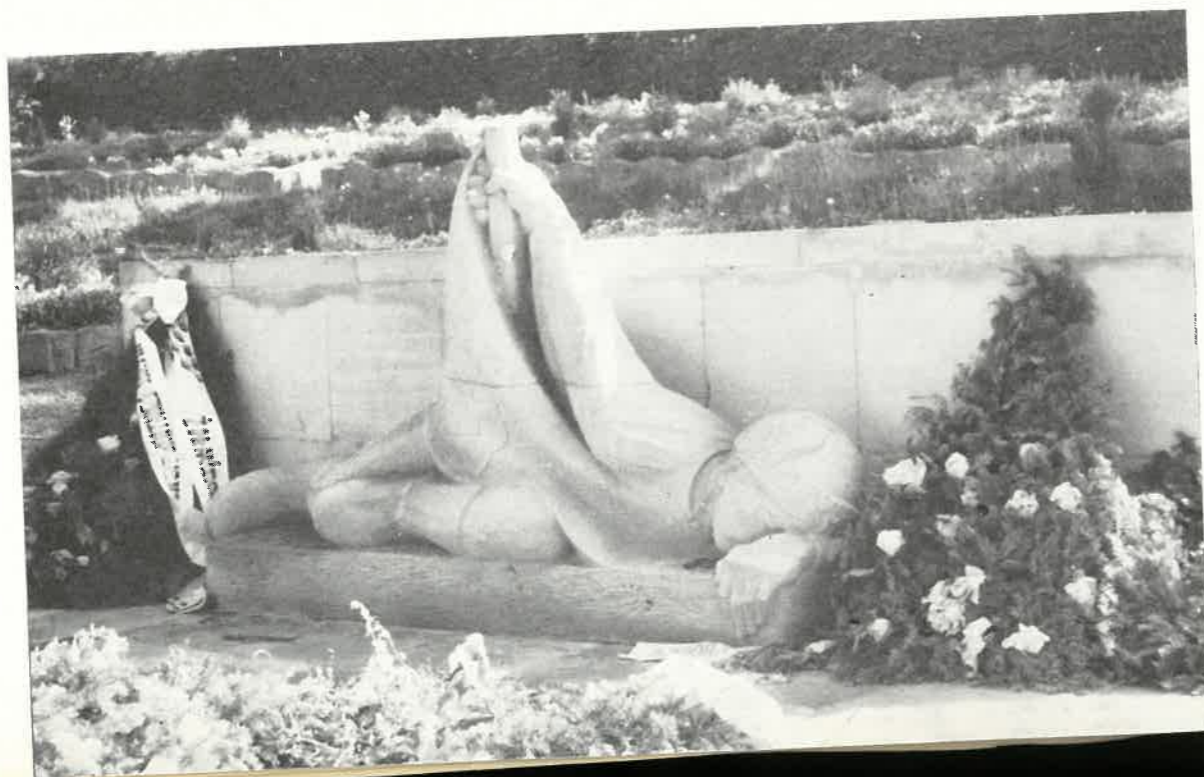


Łemkowska rzeźba ludowa — fragment ikony

fol. TADEUSZ KIELBASIŃSKI

Pomnik Radzieckiego Żołnierza na cmentarzu wojennym w Dukli

fol. TADEUSZ KIELBASIŃSKI



Od 1950 roku prof. Walery Goetel został przewodniczącym Komitetu Redakcyjnego i pozostał na tym stanowisku aż do śmierci w 1973 roku, Redaktorem Naczelnym jest mgr Władysław Krygowski, a w skład Komitetu weszli prof. dr Jan Reychman, zmarły w 1975 roku. W 1964 roku zmarł niw- zwykle zasłużony dla wydawnictwa Bohdan Małachowski. W 1973 roku po śmierci prof. W. Goetla przewodniczącym Komitetu Redakcyjnego został red. Jan Alfred Szczepański, zaś w skład zespołu weszli doc. dr Jacek Kolbuszewski i prof. dr Roman Reinfuss.

Wydawnictwo kontynuowało chlubne tradycje i zyskiwało z roku na rok coraz większy rozgłos i uznanie wśród ludzi gór w Polsce i świecie. Na przestrzeni lat rocznik zachował format i szatę graficzną, do których to my, wszyscy miłośnicy gór, przyzwyczailiśmy się i wdzięczni jesteśmy kolejnym Redaktorom Naczelnym i Komitetom Redakcyjnym za zachowanie tradycji i niezmienności "Wierchów" od chwili ich powstania do dnia dzisiejszego.

"Wierchy" były i są przykładem rzetelnej, pełnej poświęcenia i oddania pracy zespołu redakcyjnego dla zachowania tradycji i form ideowych Towarzystwa, a ich ciągłość wydawnicza i poziom treści stawia je na równi z najpoważniejszymi tego typu wydawnictwami w świecie, a może nawet je przewyższa poprzez upór ludzi, którzy nie złamani przeciwnościami dwóch wojen światowych kontynuowali po ich zakończeniu rozpoczęte dzieło krzewienia miłości do gór, przyrody górskiej i ludzi tam zamieszkałych.

"Wierchy" na przestrzeni lat nie uchroniły się od krytyki, która przejawiała się i przejawia w różnych formach i postaciach, nie znajdując jednak wśród prawdziwych ludzi gór poparcia.

Że formy te nie zmieniają się, przykładem jest podany niżej wyjątek z artykułu redakcyjnego pisanego na dziesięciolecie wydawnictwa, zamieszczonego w roczniku X "Wierchów" za rok 1932. Cały artykuł jest zbyt obszerny, aby go tu cytować, odsyłam więc zainteresowanych do wspomnianego tomu "Wierchów".

"Krytyka przyjęła nasze wydawnictwo w ogóle przychylnie. Z kompetentnych uwag korzystaliśmy i korzystamy z wdzięcznością. Nie damy się jednak zdezorientować uwagami niekompetentnymi lub dyktowanymi interesami nie mającymi nic wspólnego z interesem publicznym. I tak oczywista, że w czasach kiedy idea ochrony przyrody wywalczać sobie musi dopiero wśród społeczeństwa zrozumienie, zaczepiani bywamy często z powodu naszego stanowczego ochroniarstwa. Kiedy jednak spojrzymy wstecz na drogę przebytą od chwili walki o sławetną kolejkę na Świnicę po dzień dzisiejszy, widzimy różnicę tak ogromną, że daje nam to nadzieję pewnego w przyszłości zwycięstwa".

W okresie 26 lat redaktorowania "Wierchami" mgr Władysław Krygowski rocznik kontynuował chlubnie tradycje wydawnictwa, będąc zawsze wzorem zachowania wielkich idei humanistycznych Towarzystwa. Sądzę, obserwując dorobek 100-lecia, dorobek kilku pokoleń, wielkie uznanie i autorytet, jakie zdobyły "Wierchy" wśród ludzi gór w kraju i za granicą - że wartości te będą kontynuowane i w następnym stuleciu.

Leon Hendzel

"WIERCHY" - TOM 44

Kolejny rocznik "Wierchów", ukazujący się w setną rocznicę wydania pierwszego tomu "Pamiętników Towarzystwa Tatrzańskiego", a redagowany przez Komitet w składzie: Jan Alfred Szczepański /Przewodniczący/, Władysław Krygowski /Redaktor Naczelny/, Jacek Kolbuszewski, Roman Reinfuss i Jan Reychman /niedawno zmarły/, zawiera - jak zwykle - przebogaty materiał dotyczący Gór, ludzi i spraw górskich. Statystycznie rzecz biorąc, w tomie tym zawarte jest na 364 stronach druku: 14 artykułów, kronika, kolejna część bibliografii górskiej, którą z podziwu godną dokładnością i erudycją zestawia od dawna Kazimierz Polak, Kronika Zmarłych, streszczenia obcojęzyczne, a także 121 ilustracji, znakomitych i świetnie dobranych. Ponadto na osobnych wkładkach cztery ilustracje i piąta na okładce, a na obwolucie koloru starego złota - reprodukcja panoramy wschodnich Tatr z Galicowej Grapy rysowana przez Walerego Eljasza w jego "Ilustrowanym przewodniku do Tatr, Pienin i Szczawnic". Obwoluta ta, projektu Mieczysławy Kosińskiej, jest naprawdę udana i w pełni odpowiada charakterowi jubileuszu.

Oto krótka charakterystyka artykułów zamieszczonych w tym roczniku:

1. "Przed stu laty i jutro" - krótki artykuł wstępny pióra Władysława Krygowskiego, mówiący o stuleciu "Wierchów".
2. "Kangbachen zdobyty" - Autor, Marek Malatyński, opisuje kolejny sukces polskich alpinistów, tym razem w górach Nepalu, jako uczestnik tej wyprawy.
3. "Partyzantka radziecka w zachodnich partiach Beskidu Wysokiego 1944 - 1945" Janusza Andrusikiewicza - wyczerpujące opracowanie będące fragmentem przygotowywanej obecnie do druku pracy "Partyzantka radziecka w Karpatach Polskich 1944 - 1945".
4. "Góry i doliny - po mojemu" Władysława Krygowskiego - znakomita proza o zabarwieniu poetyckim. Artykuły wspomnieniowe Krygowskiego drukowane w "Wierchach" odznaczały się zawsze wyjątkowymi walorami literackimi /niezależnie od wartości faktograficznej jako bezcenny dokument epoki/, ten jednak postawiłbym najwyżej zarówno ze względu na formę artystyczną, jak i - przede wszystkim - na treść, jak nigdy

- osobistą i jak zwazse głęboką. Lektura szkiców Krygowskiego skłania mnie do apelu pod Jego adresem, aby artykuły drukowane w "Wierchach" w znikomym, bo tylko 3 tys. egz. liczącym nakładzie, uzupełnione sumą Jego doświadczeń i przemyśleń, zebrał w jednym dziele i opublikował jako przesłanie do najdalszych pokoleń wizji Idei Gór, której służy i której pozostaje niezłomnie wierny od ponad pół wieku.
5. "Karol Stryjeński - pierwszy rewizjonista stylu zakopiańskiego" pióra Haliny Kenarowej. Artykuł - oprócz szczegółowej biografii Stryjeńskiego - omawia zasługi tego niepospolitego człowieka dla rozwoju zakopiańskiej Szkoły Przenysłu Drzewnego i w ogóle dla nowoczesnej pedagogiki artystycznej. Przypomnienie tej działalności Stryjeńskiego - znanego szerszemu kręgowi turystów przede wszystkim jako projektant "Krokwi" - jest dużym wkładem Autorki do wiedzy o ludziach i sprawach górskich.
 6. "Tatrzańska gra miłości i śmierci" Jacka Kolbuszewskiego. Autor, ceniony historyk literatury, rozmiłowany w Tatrach, nie po raz pierwszy analizuje na łamach "Wierchów" prozę i poezję, których inspiacją były Tatry, a autorami - ludzie związani czynnie z turystyką górską i taternictwem. Tym razem omawia wyczerpująco motywy tatrzańskie i ich rolę w literaturze tzw "popularnej" okresu międzywojennego. Kolbuszewski wykazuje, że autentyczna nawet fascynacja Tatrami u autorów licznych wtedy powieści i nowel grafomańskich sprowadzała się przede wszystkim do snucia wątpliwej wartości rozważań psychologicznych, zaś Tatry i Zakopane służyły jako tło /a czasem jako bodziec/ do pisywania scen erotycznych pozbawionych wartości artystycznych, a czasem wręcz wulgarnych. Jak pisze Autor, "warto się było przyjrzeć tatrzańskiemu grze miłości i śmierci w literaturze dwudziestolecia międzywojennego. Jej zrozumienie ma bowiem znaczenie nie tylko z punktu widzenia historii literatury i socjologii, ale również z punktu widzenia wiedzy o współczesności, dla której interesująca jest na równi obserwacja zachowań ludzi w górach, jak i analiza literackich następstw chodzenia po Tatrach...".
 7. "O Tadeuszu Malickim" Juliana Rachwała - szkic poświęcony postaci nieco dziś zapomnianego wybitnego pisarza związanego z Zakopanem i Tatrami, który był jednocześnie utalentowanym malarzem, rzeźbiarzem i pedagogiem.
 8. "U źródła "fortun" chłopskich w Karpatach Polskich /1650 - 1848/" Mieczysława Adamczyka - mocno oparty na archiwalnych źródłach szczegółowy artykuł dający wiele wiadomości sprzed laty o życiu górali, o stosunkach własnościowych, źródłach dochodów, obyczajowości itp.

9. "Polacy w górach Afryki" - bardzo szczegółowe opracowanie Ryszarda W. Schramma omawiające temat od pierwszych uchwytynych a konkretnych śladów aż po czasy współczesne.
10. "Od Żelaznej Bramy do Czerwonej Wieży" Andrzeja Krasiańskiego. Jest to kontynuacja zamieszczonej w poprzednim roczniku pracy "Zwiad turystyczny w Karpatach Południowych"; tym razem Autor opisuje ciekawsze fragmenty trasy wiodącej zachodnią partią Południowych Karpat pd przełomu Dunaju po przełom Aluty.
11. "Kłodzkie początki turystyczne 1947 - 1950" - pisze o nich współtwórca i pierwszy prezes Oddziału PTT w Kłodzku, wieloletni działacz PTT i PTTK, autor wielu cennych prac teoretycznych i szkoleniowych z zakresu turystyki - Zbigniew Kulczycki. Bardzo to cenny materiał historyczny obrazujący działalność naszych organizacji turystycznych na ziemiach, które w 1945 roku wróciły po wielu latach w granice Polski. Należy tylko żałować, że tak niewiele Oddziałów PTT i PTK reaktywowanych czy nowopowstałych po II wojnie, a także Oddziałów PTTK ma opracowaną swoją historię, zwłaszcza tak wyczerpująco, rzetelnie i ciekawie, jak zrobił to Zbigniew Kulczycki w omawianym artykule.
12. Roman Wytyczak proponuje wyprawę na "Kozie Grzbiety - zapomniany fragment Przedgórze Sudeckiego". Potrzebne są artykuły udowadniające, że tereny nie należące w ścisłym tego słowa znaczeniu do gór są również piękne, bogate w walory krajoznawcze i jak najbardziej godne poznania. Można dodać, że popularyzowanie /a przede wszystkim lepsze zagospodarowanie turystyczne/ takich niedocenianych terenów przyczyniłoby się do deglomeracji masowego ruchu turystycznego w partiach górskich obecnie niemilosiernie przepełnionych i rozdeptywanych milionami nóg, czego znakomitym, acz smutnym, przykładem są właśnie Sudety, zwłaszcza zaś Karkonosze.
13. "Na Gerlach przed stu laty" wybrał się węgierski turysta Mór Déchy, a swoje wrażenia z tej wyprawy, dokonanej nową wtedy drogą przez tzw Wielicką Próbę, wydrukował w "Zeitschrift der Deutschen und Oesterreichischen Alpenvereins" jako pierwszą publikację o Tatrach w tym czasopiśmie. Artykuł ów przypomina i komentuje Zbigniew Kągre.
14. "Księga tajemna Tatr Tadeusza Micińskiego" - Józef Dynak pisze o "Nietocie" - głośnym dziele wybitnego poety, pisarza i dramaturga, zajmującego szczególne miejsce wśród twórców okresu modernizmu.

W Kronice jak zwazsze przebogaty wybór wiadomości z najróżniejszych dziedzin związanych z górami, mnóstwo też arcyinteresujących ciekawostek krajoznawczych.

Z satysfakcją i dumą przeczytaliśmy notatkę Władysława Krygowskiego mówiącą w serdecznych słowach o Biuletynie Łowickiego Klubu Turystów

Górskich "Delta" i o działalności tego Klubu, a także o naszym Biuletynie.

W Kronice Zmarłych obszernie wspomnienia o Janie Kazimierzu Dorawskim i o Janie Reychmanie, a wśród innych nazwisk ludzi, którzy odeszli już "na drugą stronę Gór" przeczytaliśmy krótkie wzmianki o śmierci Franciszka Bujaka i Zofii Stryjeńskiej. Uważam, że przynajmniej tym postaciom należałoby się szersze wspomnienie.

W zamieszczonym jak co roku sprawozdaniu Komisji Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK wśród wielu istotnych wiadomości ważnych i zrozumiałych przede wszystkim dla działaczy blisko związanych ze sprawami organizacyjnymi turystyki górskiej /"sapienti sat"/ znajdujemy też informację interesującą wszystkich czytelników, mianowicie o powołaniu nowego Komitetu Redakcyjnego "Wierchów" w składzie: Przewodniczący - prof. dr hab. Marek Sobolewski /obecny przewodniczący Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK/ oraz: prof. dr Jan Flis, red. Michał Jagiełło, doc. dr Jacek Kolbuszewski, red. Józef Nyka, prof. dr Roman Reinfuss, mgr Tadeusz Staich, red. Jan Alfred Szczepański /członek Redakcji od 1935 roku/, inż. Jerzy Wala, prof. dr Wojciech Walczak, doc. dr Jacek Woźniakowski, mgr inż. Wiesław Wójcik i prof. dr Kazimierz Zarzycki. Nie ogłoszone dotąd, kto będzie redaktorem naczelnym.

Jesteśmy przekonani, że nowy, znacznie poszerzony /dotychczas "Wierchy" redagowało najwyżej 5 osób, a wyniki Ich pracy znamy i podziwiamy wszyscy/ Komitet Redakcyjny będzie godnie kontynuował i rozwijał tę Ideę, której "Pamiętniki Towarzystwa Tatrzańskiego", a potem "Wierchy" służy od stu lat.

Jacek K. Ciesielski

WIERCHY- Rocznik poświęcony Górom - organ Komisji Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK - rocznik czterdziesty czwarty 1975 - wydaje Zakład Wydawniczo-Propagandowy PTTK przy współpracy Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej i Narciarskiej - Warszawa-Kraków 1976 n. 3000+100 egz, s. 364 + 4 wkł. ilustr., c. 75 zł.

Turystyczne nowości wydawnicze

O STARYM ZAKOPANEM

Jest niewątpliwą zasługą Wydawnictwa Literackiego w Krakowie wydanie serii publikacji poświęconych Zakopanemu i Podhalu z okresu przed II wojną światową, bowiem prawie bez precedensu jest fakt, że mała, prymitywna wioska podhalańska w okresie kilku zaledwie dziesiętków lat przeobraziła się w miejscowość klimatyczną o europejskim rozgłosie.

Po "Album tatrzańskie" Jarosława Iwaszkiewicza i "Peleryna, ciupaga i znak tajemny" Jana Reychmana ukazała się trzecia książka z tej serii - Konstantego Steckiego seniora "Wspomnienia zakopiańskie" będące prawdziwą skarbnicą faktów i wspomnień, nie pozbawionych często akcentów sensacyjności.

Autor, najprzód kuracjusz w Sanatorium Dżuskich, a następnie nauczyciel w miejscowym gimnazjum oraz działacz zakopiańskiego Oddziału PTT, opisuje z humorem tę specyficzną aurę ówczesnego Zakopanego, kiedy to egzystowały obok siebie wieś góralska ze stajniami i oborami obok luksusowych pensjonatów i sanatoriów budowanych w oryginalnym, nie pozbawionym uroku "stylu zakopiańskim". W tej miejscowości gospodarzyły obok siebie urząd gminny, CK Rządowa Komisja Klimatyczna oraz Zarząd Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i choć nie zawsze zgodne z sobą, mogły się pochlubić znacznymi osiągnięciami.

Powstawały w krótkim czasie prawdziwe giganty, jak Sanatorium dr Chramca, Sanatorium Dżuskich, "Stamary", "Warszawianka", "Sanato", nie mówiąc już o licznych domach wypoczynkowych i willach prywatnych. W krótkim czasie uzyskuje Zakopane połączenia kolejowe i drogowe z Krakowem i słowacką stroną Tatr. Budowa elektrowni i wodociągów modernizuje "letnią stolicę Polski", mimo gorących nieraz sprzeciwów zapalonych zwolenników pierwotnej "głuszy tatrzańskiej". Niewiele brakowało, aby nawet "pocziwa" Świnica została ujarzmiona przez kolejkę zębatą, ale na szczęście "ten numer nie przeszedł".

Wspomnienia Steckiego są tym bardziej interesujące, że autor nie wybiela czy heroizuje ówczesnych stosunków, nie pozbawionych lokalnych antagonizmów czy prowincjonalnej megalomanii, nie oszczędzając nawet samego siebie.

Do bardziej ciekawych rozdziałów należy opis stosunków panujących w Sanatorium Dżuskich /jak wiadomo, Bronisława ze Skłodowskich Dżuska była siostrą Marii Skłodowskiej-Curie, którą Stecki miał okazję poznać podczas pobytu uczoney w Zakopanem/, gdzie chorzy, pozostający w dość surowym reżimie sanatoryjnym /i w znakomitych warunkach/, gdy udało im się odwrócić czujną uwagę pani Dżuskiej, urządzali sympozjony erotyczne racząc się znakomitymi winami węgierskimi z piwniczki Pani Dyrektorowej.

Przytacza również Stecki ciekawy, choć mało znany fakt, jak to Kazimierz Dżuski w obawie przed karą za spoliczkowanie Bolesława Prusa, który w "Nowinach" ostro skrytykował dość obcesowe wystąpienia radykalnej młodzieży, musiał uchodzić z Warszawy.

Sporo miejsca poświęca Stecki fenomenalnej postaci Mariusza Zaruskiego - marynarza, kawalerzysty, malarza, literata, a przede wszyst-

kim znakomitego taternika i narciarza oraz założyciela i pierwszego Naczelnika Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego - nie wnosząc niestety nowych elementów z bogatej działalności Zaruskiego.

Nas, Łódzian, może najbardziej zainteresuje rozdział "Nomen omen", w którym autor opisuje niesamowitą i groźną przygodę, jaka spotkała młodego przyrodnika Łódzkiego Potęgę w Grocie Magury, do której wybrał się samotnie w poszukiwaniu kości niedźwiedzia jaskiniowego. Przyniesiony spadającymi głazami, cudem uniknął śmierci, ale odniósł poważne obrażenia. Potęga po II wojnie był wybitnym działaczem Ligi Ochrony Przyrody oraz Wojewódzkim Kmserwatorem Przyrody w Łodzi i na polu ochrony pomników przyrody częstośmy się spotykali. Stecki pisząc o nim używa imienia Mieczysław, ale Potęga wszystkie swe późniejsze publikacje podpisywał pierwszym swym imieniem - Edward - i pod tym imieniem jest również znany ze swej działalności.

Również pełne uroku są wspomnienia o Stefanie Żeromskim, Gustawie Daniłowakim, Janie Pawlikowskim i działalności Sekcji Ochrony Tatr, o Stanisławie Witkiewiczu, a także o słynnym przewodniku Janie Ciap-taku Gąsienicy i wielu innych ludziach związanych z Zakopanem.

Samokrytycznie i z humorem opisuje Stecki wyprawę na kozice ze słynnym "polowcem" Maciejem Sieczką do Doliny Jaworowej. Obaj kłusownicy przeszli od Zielonego Stawu na Jagnięcy Szczyt, a stamtąd weszli do górnych pięter Jaworowej. Mimo jednak spotkania kozie musieli zrezygnować z polowania spłoszeni przez straż leśną. Autentyzność relacji Steckiego mogłem sprawdzić w 1929 roku, kiedy pod Jagnięcym spotkałem stado kozie liczące około 30 sztuk, które dosłownie trzeba było spędzać z perci.

Obszernie omawia Stecki sprawę kolekojomerstwa sztuki ludowej, która wtedy dzięki działalności Witkiewicza i innych stała się bardzo modna. Autor posiadał bogaty zbiór eksponatów o dużej wartości artystycznej, a szczególnie cenne były zbiory obrazów na szkle, zdobywanych niekiedy w zabawnych sytuacjach.

Żałować tylko należy, że ta interesująca książka została wydana w znikomym nakładzie i w Łodzi już w pierwszym dniu sprzedaży zniknęła z półek księgarskich, a piszącemu te słowa udało się ją zdobyć w Świnoujściu.

Zbigniew Ciekliński

Konstanty Stecki senior - Wspomnienia zakopiańskie /1910 - 1923/
Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, n. 5000 egz, s. 134, c. 30 zł.

JANOSIKOWA SKARBENICA

Miłośnicy folkloru tatrzańskiego otrzymali nową, cenną pozycję - wybór polskich i słowackich opowiadań tatrzańskich dokonany przez Teresę Komorowską i Vierę Gašparikową, wydany pod ogólnym tytułem "Zbójnicki dar". Tom zawiera 42 opowiadania polskie i 164 słowackie, dotyczące przede wszystkim zbójnictwa tatrzańskiego, a niewielka ich część to opowiadania o skarbach. Wśród opowieści o zbójnikach i zbójowaniu na plan pierwszy wysuwa się zdecydowanie postać legendarnego Janosika, zrosniętego bez reszty z folklorem tatrzańskim. Czemu tak jest, wyjaśnia Teresa Komorowska we wstępie do antologii.

Autorka zwięźle przedstawia genezę zbójnictwa w Tatrach i na Podtatrzu, a następnie przekonująco wyjaśnia przewagę ilościową opowiadań słowackich nad polskimi. Wynikało to z odmiennych przyczyn, dla których młodzieńcy górale chodzili "za bucki" po polskiej i słowackiej stronie Tatr, jako że na Słowacji pójście na zbój w większym stopniu było wynikiem konfliktów klasowych i narodowościowych, a w Polsce głównym powodem był zysk. Stąd zbójnicy słowaccy w dużo większym stopniu pozostali w ludowej tradycji i szybciej doszli do ich swoistej apoteozy jako bohaterów narodowych.

Dowodzi też autorka, że wpływ słowackiej ludowej literatury zbójnickiej na folklor zbójnicki naszego Podhala jest przemożny i decydujący o jego obliczu.

Równie szczegółowo zajmuje się Teresa Komorowska kultem postaci Janosika, który popularnością i stopniem wyidealizowania "pobił na głowę" pozostałych bohaterów ludowych baśni i opowiadań. Śledząc ewolucję wątku Janosika w literaturze ludowej autorka wykazuje proces stopniowej idealizacji bohatera, który w końcu urósł do rangi nieskazitelnego herosa. Nietypowym zjawiskiem w literaturze ludowej /nie tylko podhalańskiej/ jest doprowadzenie bohatera do tak absolutnego ideału, jak to ma miejsce w legendzie o Janosiku. Co najdziwniejsze, w życiorysie tego zbójnika nie znajdujemy momentów usprawiedliwiających heroizację posuniętą aż tak daleko. Widzimy natomiast, jak niektóre elementy legendy, w miarę postępującej idealizacji, były pomijane lub przeinaczane. Nie bez wpływu na wytworzenie mitu Janosika, który wszak tylko dwa lata zbójował, pozostawała twórczość literacka poza-ludowa, przede wszystkim Kazimierza Przerwy-Tetmajera, który przydał Janosikowi sporo barw narodowo-patriotycznych, podczas gdy w literaturze ludowej przeważały problemy społeczne.

Kolejną sprawą, którą zajmuje się autorka, jest kwestia autentyczności przedstawionego w opowiadaniach życia wiejskiego. Z tego punktu widzenia najwartościowsze są opowiadania o innych zbójnikach, bo w

legendzie Janosikowej heros przeszedł nieco prawdziwe życie.

Dobór opowiadań, przede wszystkim słowackich, gdyż - jak pisała Komorowska - polskie wykorzystano w całości, konsekwentnie udowodnia sprawy i przemiany, o których mowa we wstępie. Autorka podaje też spory wybór literatury przedmiotu, a także dokładny komentarz do każdego opowiadania, dotyczący osoby opowiadającej oraz miejsca, daty i autora zapisu, a także opublikowania danego tekstu.

Warto zaznaczyć, że równoległe z wydaniem polskim ukazało się w Bratysławie wydanie słowackie tej książki, co jest pięknym przykładem współpracy naukowców bratnich krajów badających nasze wspólne góry i sprawy ludzi z nimi związanych.

Dodatkowym walorem książki są kapitalne góralskie malowidła na szkło wybitnych twórców z Podhala, świetnie reprodukowane przez Bohdana Sowilskiego i znakomicie wydrukowane, a także bardzo udane przerywniki graficzne Stanisława Porady utrzymane w tym samym stylu. Całość wydana jest bardzo starannie i elegancko /co jest zasługą Zakładów Graficznych Dom Słowa Polskiego/, tak, że książkę tę z przyjemnością bierze się do ręki. A zagłębienie się w jej treść to prawdziwa uczta duchowa, do której zachęca

Jacek K. Ciesielski

"Zbójnicki dar" - polskie i słowackie opowiadania tatrzańskie.
Wybrały i opracowały Teresa Komorowska i Viera Gašpariková.
Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1976, wyd. I, s. 164, 12 kol.
ilustr. na wkładkach, n. 10000+305 egz., c. 75 zł.

ANKIETA NA TEMAT ROLI I FUNKCJI SCHRONISKA GÓRSKIEGO

Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej i Narciarskiej oraz Komisja Turystyki Górskiej ZG PTTK w ramach współpracy podjętej ze Zrzeszeniem Gospodarki Turystycznej PTTK, a dotyczącej realizacji budowy bazy schroniskowej w górach - opracowały sondażową ankietę specjalistyczną na temat roli i funkcji przyszłego schroniska górskiego. 200 egzemplarzy ankiety rozesłano kierownikom schronisk, przewodniczącym Oddziałowych KTG i Klubów Górskich oraz do wszystkich THW GOT.

Temat ankiety objął następujące problemy: kolalizacja schronisk w poszczególnych grupach górskich, funkcjonalność schroniska górskiego /typ bazy noclegowej, wyposażenie i wystrój obiektu, sprawy gastronomii, wyposażenie dodatkowych, sanitariatów/. Otrzymaliśmy dużo ciekawych, różnorodnych materiałów, które staraniem dr Tadeusza Stanisza - działacza Podkomisji Zagospodarowania KTG ZG PTTK - ujednolicono w opracowanie zbiorcze, wysyłając je do wykorzystania władzom Towarzystwa.

Generalnie wyniki ankiety potwierdziły większość poglądów, samiereżeń i koncepcji KTG ZG PTTK i ZGT PTTK, a w szczególności potwierdziły koncepcję budowy: górskich domów turysty /dużych obiektów/ przy szlakach komunikacyjnych dla obsługi masowego ruchu turystycznego; schronisk górskich średniej wielkości oraz małych schronisk w najwyższych partiach gór /bacówek/ przeznaczonych dla kwalifikowanych turystów indywidualnych. Zdecydowana większość respondentów domagała się, aby: w schroniskach większość pokoi była 2-6-osobowych oraz 1-2 sale większe, bufet /kuchnia/ czynny bez przerwy w godzinach 7 - 20; wystrój wnętrza oprzeć na motywach danego regionu, a na ścianach umieścić mapy turystyczne oraz informacje o ochronie przyrody. Każde schronisko powinno posiadać oddzielne pomieszczenie na suszarnię odzieży i obuwia, kuchnię turystyczną i sanitariaty wewnątrz budynku. Obiekty należy zaopatrzyć w dodatkową liczbę materacy i kocy oraz wydać zakaz palenia tytoniu za wyjątkiem oddzielnej palarni.

Wypowiadający się podali ponadto szereg uwag natury ogólnej, z których najistotniejsze przytaczam:

Bazę noclegową należy rozbudowywać jak najszybciej, w tym jak największą ilość małych schronisk /bacówek/ dla turystów nie wymagających przesadnego komfortu w górach. Równolegle budować schroniska średniej wielkości dające możliwość wypoczynku sobotnio-niedzielnego i oparcia podczas dłuższych wędrówek. W perspektywie najtańsze okażą się te schroniska, które aktualnie są być może drogie, lecz służyć będą jeszcze przez dziesiątki lat. Należy ograniczyć ogólnodostępny ruch kołowy do schronisk /np obecnie Równica/. Przy szlakach komunikacyjnych lokować tylko domy turysty, natomiast zapewnić dla schronisk własne środki transportu, co w dużym stopniu wpłynie potem na poziom świadczonych usług. W każdym schronisku powinna być oczyszczalnia ścieków. Domagano się bezwzględnego wyeliminowania ze schronisk sprzedaży alkoholu /piwo!/. Respondenci wnioskowali wreszcie nie obciążanie schronisk górskich zbyt wygórowanymi planami finansowymi - dostatecznie duże dochody winna tu przynieść działalność domów turysty.

Andrzej Metuszczyk

V-przewodniczący KTG ZG PTTK

LÓDZCY "GÓRALE" PRZED POŁWIECZEM

Z wielką przyjemnością przeglądam zawsze stare roczniki "Pamiętników Towarzystwa Tatrzańskiego" i "Wierchów", znajdując w nich obok stale aktualnych i nieprzemijających wartości, coraz to nowe wiadomości i ciekawostki. Między innymi przeglądając ostatni tom "Pamiętników TT" za lata 1919-1920 natknąłem się na pełny spis członków

Towarzystwa Tatrzańskiego - ostatni, bo w roku 1920 organizacja przyjęła nazwę Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. Wśród wielu innych soboczyżem nazwiska ludzi mieszkających wtedy w Łodzi. Oto one /podaje je w tej kolejności i z takimi określeniami zawodów, jak były opublikowane w tym spisie/:

Grohman Henryk - przemysłowiec /członek dożywotni/; Dr Barabasz Lesław - chemik; Batkowski Stefan - inżynier; Bielobrodek Leon - handlowiec; Bigalski Jan - inżynier; Chlewicka Helena - przełożona szkoły; Czeraszewicz Jan - dyrektor szkoły; Ferens Adam; Gajewska Janina - nauczycielka; Getlich Władysław - przemysłowiec; Geyser Gustaw - przemysłowiec; Gielg Stefan - inżynier; Grabowska Kazimiera - rezydentowa; Groszkowski Wiktor - aptekarz; Heiman Aleksander - przemysłowiec; Hermanówna Maria - lekarz dentysta; Hirsberg Franciszek - inżynier przemysłowy; Horodyński Włodzimierz - kupiec; Hykielówna Zofia; Jany Eugenia - nauczycielka; Jasiński Edmund - inżynier; Kaiserbrecht Ernest - przemysłowiec; Koenig Brunon; Koral Ludwik - kupiec; Kowalewski Wacław - architekt; Krasuski Eugeniusz; Krasuska Jadwiga; Krasuski Stefan; Krukowski Tadeusz - kupiec; Lindner Antoni - bankowiec; Macner Karol - handlowiec; Markowski Tadeusz - inżynier; Mączkówna Janina; Merta Stefan - handlowiec; Dr. Mogilnicki Tadeusz; Naftali Wacław; Dr Nussbaum-Drzewiecki Fryderyk; Piętrch Eugeniuś - handlowiec; Dr Pinkus Ludwik - lekarz miejski; Pomper Maria; Przedpeński Stefan - inżynier; Regulski Janusz; Rosman Kazimierz - adwokat przysięgły; Saumanówna Roma; Sroczyńska Julia; Stanisławski Antoni - dyrektor "Simensa"; Sułowski Tadeusz - inżynier; Świątkowski Wacław - nauczyciel; Świeroszewski Czesław - dyrektor gazowni; Szapiro Jerzy; Samidówna Małgorzata; Szule Ryżard; Tomasówna Izabela; Wujs Konstanty - handlowiec; Walten Zofia; Weil Emil - kupiec; Wiśniewski Konstanty - handlowiec; Zieliński Antoni - handlowiec.

Publikując listę członków Towarzystwa Tatrzańskiego zamieszkałych przed ponad półwieczem w naszym mieście jestem przekonany, że któraś z wymienionych osób lub ich potomkowie nadal związani są z Łodzi i że napiszą do Redakcji Biuletynu, która bardzo pragnie nawiązać z nimi kontakt. Interesuje nas bowiem, jakie było środowisko górskie w Łodzi w tych dość odległych czasach, jakie formy turystyki górskiej i działalności organizacyjnej uprawiano. Posa tym ta przecież grupa osób utworzyła krótko po 1920 roku Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Łodzi, który - jak wynika z bardzo nielicznych zachowanych dokumentów i notatek, miał na swym koncie pewne osiągnięcia, między innymi przy budowie schroniska na Turbaczu. Za mało jednak mamy dokume

tów, aby można było w pełni ocenić całokształt działalności Oddziału, zwłaszcza w pierwszych latach istnienia. Może więc przypomnienie nazwisk łódzkich "górali" sprzed półwiecza pozwoli na nawiązanie z nimi kontaktu i na zgromadzenie cennych informacji o łódzkiej turystyce przed laty.

Jacek K. Ciesielski

REGIONALNA ODZNAKA PTTK "ZIEMI RZESZOWSKIEJ"

Wyciąg z regulaminu

1. Regionalna Odznaka PTTK "Ziemi Rzeszowskiej" posiada trzy stopnie: brązowy, srebrny i złoty.
2. RO PTTK "ZR" w stopniu brązowym przyznana być może osobie, która na terenie Ziemi Rzeszowskiej /byłego woj. rzeszowskiego/ zdobędzie następującą ilość punktów w jednej z wymienionych dyscyplin turystyki kwalifikowanej według zasad ich regulaminów:

górskiej - 300 pkt	kolarskiej - 300 pkt
pieszej - 200 pkt	możorowej - 450 pkt
kajakowej - 400 pkt	żeglarskiej - 200 pkt

 oraz przedstawi potwierdzenie zwiedzenia przynajmniej sześciu z wymienionych miejscowości:
Baligród, Baranów, Biecz, Cisna, Dubiecko, Dukla, Dynów, Gorlice, Hoczew, Horyniec, Iwonicz Zdrój, Jablonki, Jarosław, Jasło, Krasiczyn, Krosno, Lesko, Łańcuch, Lubaczów, Łańcut, Machów, Narol, Pruchnik, Przemyśl, Przeworsk, Rymanów Zdrój, Rzeszów, Sanok, Strzyżów, Szymbark, Tarnobrzeg, Ulanów, Ustrzyki Dolne, Wysowa, Żmigród.
3. RO PTTK "ZR" w stopniu srebrnym przyznawana jest działaczom i jednostkom PTTK ze stażem i osiągnięciami na przestrzeni 5 lat, a dla działaczy spoza Rzeszowszczyzny - gdy przyczynili się do rozwoju PTTK na terenie Ziemi Rzeszowskiej.
Odznaka w stopniu złotym - według zasad jak przy srebrnej, ale przy stażu 8 lat.
4. RO PTTK "ZR" może być zdobywana i przyznawana niezależnie od zdobywania innych odznak. Przyznawana jest w grudniu, w rocznicę powstania PTTK.
5. Odznakę weryfikuje i przyznaje Zarząd Wojewódzki PTTK w Rzeszowie, Pl. Wolności 2 35-073 Rzeszów i tam należy przesyłać wypełnione książeczki danych dyscyplin.

opr. Z.K.

Materiały do publikacji należy nadsyłać w 2 egz. maszynopisu. Redakcja przyjmuje prace nigdzie dotąd nie publikowane. Objętość artykułu nie powinna przekraczać 4 stron. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian tytułów oraz dokonywania skrótów i poprawek stylistyczno-językowych. Nadsyłane fotografie winny być wyraźne, kontrastowe, odbite na błyszczącym papierze i opatrzone na odwrocie krótkim opisem oraz imieniem, nazwiskiem i adresem Autora. Artykuły honorowane są według obowiązujących stawek. Honoraria wypłacane są po ukazaniu się numeru. O przyjęciu pracy do publikacji decyduje kolegiąlnie Komitet Redakcyjny. Przedruk bez podania źródła nie jest dozwolony.

o - o - o - o - o - o - o - o - o - o

BIULETYN PTTK jest wspólnym organem Zarządu Wojewódzkiego, Oddziałów, Komisji, Klubów i Kół PTTK

Wydaje Zarząd Wojewódzki PTTK w Łodzi

Adres Redakcji - ul. Piotrkowska 102a 90-004 Łódź tel. 229-86

o - o - o - o - o - o - o - o - o - o

Redaguje Komitet w składzie:

Edward Chmay, Jacek K. Ciesielski /Sekretarz Redakcji/, Kazimierz Hempel /Redaktor Naczelny/, Zofia Keppe, Stanisław Maciaszczyk, Eugeniusz Małafiej, Władysław Manduk, Leonard Matuszewski, Andrzej Robak, Paweł Suwałski, Henryk Szubert, Stanisław Tarnowski i Jan Zienkiewicz.

o - o - o - o - o - o - o - o - o - o

Numer zamknięto dnia 5 sierpnia 1976 roku

o - o - o - o - o - o - o - o - o - o

Koledze Tadeuszowi Kiełbasińskiemu serdecznie dziękujemy za cenną pomoc w przygotowaniu numerów V/VI oraz IX/X Biuletynu oraz za udostępnienie materiałów fotograficznych ze swych zbiorów.

Redakcja

SPIS TRESCI NR IX/X - 243/244 - 76

1. Kazimierz Hempel	- Na XI Zlot Przewodników GOT	str 1
2. Paweł Stefanowski	- Ogólna charakterystyka regionu łemkowskiego	1
3. Paweł Stefanowski	- Cy pomnasz łemku	7
4. Władysław Krygowski	- Było to w Bartnem	8
5. Edward Teodorczyk	- Magurski Narodowy	10
6. Paweł Stefanowski	- Tematyka rolnicza i pasterska w łem- kowskiej literaturze ludowej	14
7. Tadeusz Kiełbasiński	- Spotkanie po latach	19
8. Zbigniew Parafianowicz	- Pieszo śladami Władysława Reymonta	20
9. Władysław Manduk	- Poliptyk tatrzański	23
10. Przemysław Pilich	- Cztery dni w Szklarskiej Porębie	28
11. Zdzisław Barski	- Olimp i Łodzianie	30
12. Janusz Kamocki	- W górach Zangezuru	34
13. Leon Hendzel	- Refleksje na 100-lecie "Wierchów"	36
14. Jacek K. Ciesielski	- "Wierchy" - tom 44	38
15. Zbigniew Ciekliński	- O starym Zakopanem - rec.	41
16. Jacek K. Ciesielski	- Janosikowa skarbnica - rec.	44
17. Andrzej Matuszczyk	- Ankieta na temat roli i funkcji schroniska górskiego	45
18. Jacek K. Ciesielski	- Łódzcy "górale" przed półwieczem	46
19. Regionalna Odznaka PTTK "Ziemie Rzeszowskiej" - wyciąg		48

o - o - o - o - o - o - o - o - o

Dnia 10 sierpnia 1976 roku zmarł nagle w wieku 60 lat

W I N C E N T Y K R A S K O

Prezes Zarządu Głównego PTTK w latach 1972 - 1974

Wybitny i zasłużony działacz partyjny, państwowy i społeczny,
Sekretarz KC PZPR, Członek Rady Państwa, Poseł na Sejm PRL,
Prezes Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną "Polonia".
Wśród wielu zajęć o najwyższej randze państwowej znajdował
zawsze czas dla działalności turystycznej, programowej i organi-
zacyjnej w naszym Towarzystwie.

PTTK straciło zasłużonego Prezesa i Działacza.

Cześć Jego Pamięci!